

Poznaj Świat

2

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

2013

W numerze:
Badowski, Mazurek

str. 18

KIRGISTAN

Jak wydoić kobyłę

str. 32

ANTARKTYKA

Gdzie rządzą zwierzęta

str. 56

PERU

Syn Słońca nadchodzi

MAROKO

SZKICOWNIK
Z ORIENTU

str. 10



WŁOZYKIJ

7. GRYFIŃSKI FESTIWAL MIEJSC I PODRÓŻY

Gryfino i okolice
21 lutego - 3 marca 2013

- ◎ setki podróżników i gości
- ◎ prezentacje podróżnicze
- ◎ filmy świata
- ◎ degustacje potraw
- ◎ koncerty alternatywne
- ◎ wycieczki
- ◎ warsztaty
- ◎ rajd ekstremalny
- ◎ wystawy

WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ DO GRYFINA



Kirgistan str. 18



Antarktyka str. 32



Peru str. 56

FOTOFORUM Najlepsze zdjęcia naszych Czytelników str. 4

SZKICOWNIK Z ORIENTU str. 10

Maroko od wieków przyciąga artystów. **Marcin Kołpanowicz**

JAK WYDOIĆ KOBYLĘ str. 18

Podróż Pamirskim Traktem po Kirgistanie.

Przemysław Kozłowski

MAZUREK NA WYNOS str. 30

Felieton **Roberta Mazurka**

TAM, GDZIE RZĄDZĄ ZWIERZĘTA str. 32

Antarktyka to królestwo zwierząt, w którym niepodzielną władzę sprawuje przyroda, a człowiekowi pozostaje rola gościa. **Mikołaj Golachowski**

WSPÓLNOTA POWSTAŁA Z MORZA str. 42

Gdy bliżej poznaje się Holendrów, blakną stereotypy, a roślinie podziw dla pracowitego i świetnie zorganizowanego narodu.

Józef Baran

GEOSKOP str. 50

SYN SŁOŃCA NADCHODZI str. 56

Inti Raymi to inkaskie Święto Słońca odbywające się w peruwiańskim Cuzco. **Monika Witkowska**

ZIMA, BIEGÓWKI I MY str. 64

Opowieść o długich wędrówkach w białym puchu śladami dzikich zwierząt. **Dominika Skonieczna, Daniel Klawczyński**

KASKADERZY Z ACAPULCO str. 74

Meksykański kurort ma ambicję spełnić wszystkie zachcianki turystów.

Paulina Kańska

NAVIGATOR str. 82

W TEHERANIE ŚNIĄ O ZMIANIE str. 88

Młodzi Irańczycy są otwarci, przyjaźni i mają takie same marzenia jak ich rówieśnicy na Zachodzie. **Robert Czulda**

GÓRA TRZECH SENIORÓW str. 96

Mount Cook to najwyższy szczyt Nowej Zelandii. **Marek Głogoczowski**

POZNAJ ŚWIAT W DELEGACJI str. 103

Rozmowa ze **Zbigniewem Górnym**

ŚWIAT W OBIEKTYWIE: ETIOPIA str. 104

Sól etiopskiej ziemi. **Agnieszka Meissner**

Z PERSPEKTYWY str. 110

Drugie narodziny. Felieton **Ryszarda Badowskiego** z okazji 65. rocznicy powstania miesięcznika **Poznaj Świat**

POZNAJ ŚWIAT OD KUCHNI str. 114

OUTDOOR str. 116

POLSKA, KTÓREJ NIE MA str. 120



NA OKŁADCE:
Marokański
pasterz

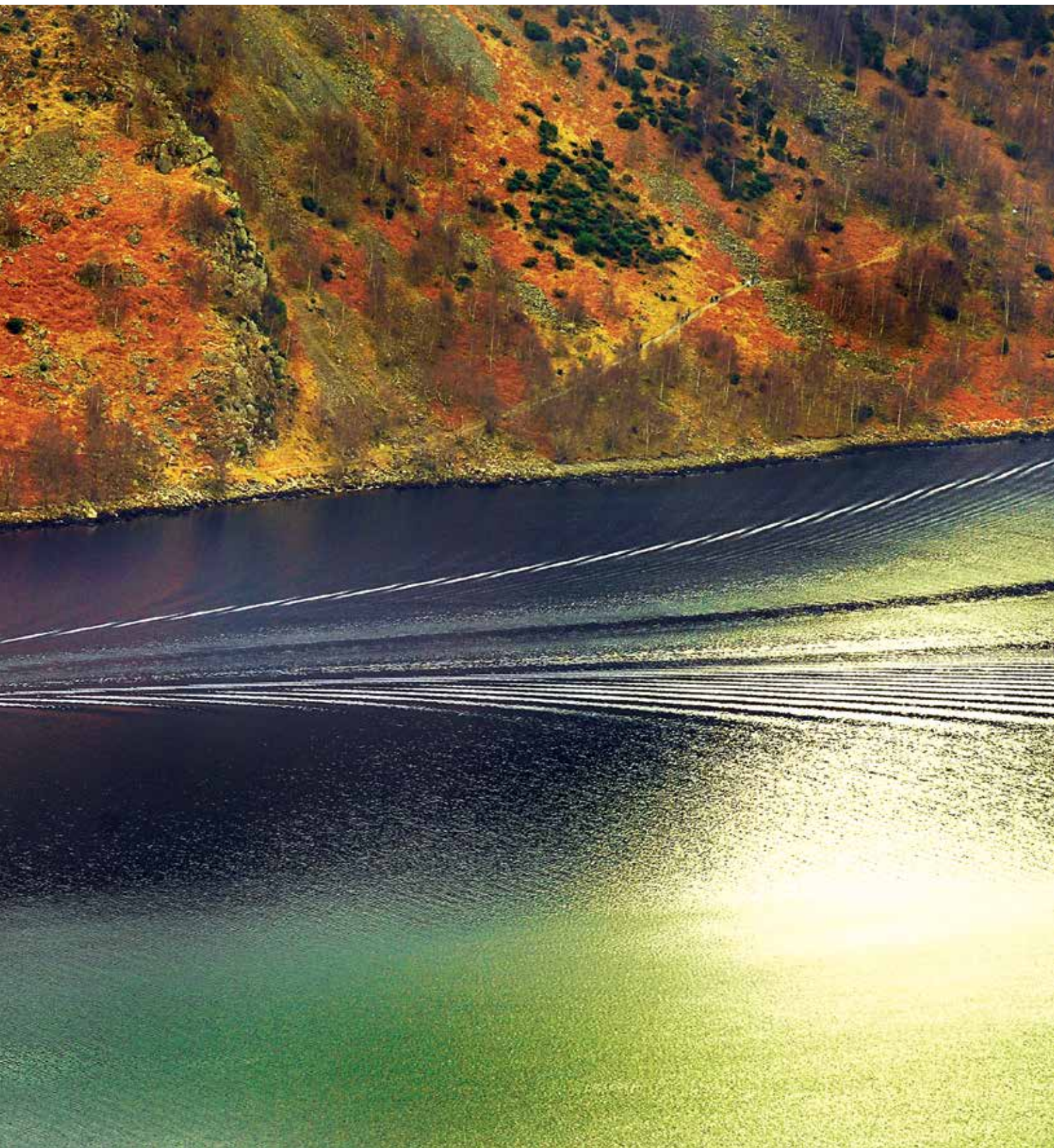
Wojciech Różański

WIELKA BRYTANIA

Angielskie barwy zimy

Ullswater jest drugim co do wielkości jeziorem w Lake District, górzystej krainie w północno-zachodniej Anglii. To pozostałość po ostatnim okresie lodowcowym. Zdjęcie zrobiono zimą. Tutaj zbrocza o tej porze roku mają rudoczerwony kolor.





Dariusz Małkowski

ISLANDIA

Błogostan

Większe kolonie fok można spotkać w miejscach, od których stronią turyści. Tę ujrzałem leżącą na przybrzeżnych rafach, na półwyspie Ósar. Rozanielone zwierzę poruszyło się dopiero po kwadransie.





Magdalena Błaszczuk

INDONEZJA

Nie te żółwie

Na wyspę Gili Trawangan wybraliśmy się tylko dlatego, że słyszeliśmy opowieści o przepięknych żółwiach, które można zobaczyć na tamtejszych plażach. W czasie kilkudniowego pobytu jedyne żółwie, które ujrzelśmy, to te pływające w akwariach. Przynajmniej są one atrakcją dla miejscowych dzieci.



© JASPER DOEST (HOLLANDIA) / REA&S

Jasper Doest (Holandia)

JAPONIA

Małpa w kąpielu

W stawach gorących źródeł w dolinie Jigokudani autor spotkał stado japońskich makaków zażywających parowej kąpeli. Jasper zauważył młodego osobnika zapadającego w drzemkę. – *Zrobiłem zbliżenie, żeby podkreślić jego podobieństwo do człowieka, zarówno pod względem wyglądu, jak i w odczuwaniu przyjemności.* Ta gromada japońskich makaków mieszka w górach. W latach sześćdziesiątych małpy zaczęły w zimowe dni podejmować ryzyko schodzenia w dolinę, aby ogrzać się w gorących źródłach. Na noc wracały do lasu. Od tamtego czasu to wyuczone zachowanie przechodzi z pokolenia na pokolenie.

KATEGORIA
PORTRETY ZWIERZĄT
WYRÓŻNIENIE

ZDJĘCIE I TEKST POCHODZĄ Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2011, KTÓREJ PATRONEM MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT. W DNIACH OD 5 STYCZNIA DO 3 LUTEGO 2013 R. WYSTAWA JEST PREZENTOWANA W MUZEUM GÓRNOŚLĄSKIM PRZY PLACU JANA III SOBIESKIEGO 2 W BYTOMIU. WWW.FOTOGRAFIADZIKIEJPRZYRODY.PL

Katarzyna i Przemysław Markowscy

UGANDA

Moje pierwsze abc

Nauczycielka Nankye z wysp Sese na Jeziorze Wiktorii pracuje w budynku, który w niedzielę służy mieszkańcom za kościół, a na co dzień pełni funkcję szkoły. Dzieci uczą się tu czytania oraz języka angielskiego.



Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W tytule maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar nadsyłanych fotografii to 2 MB.



Szkicownik z Orientu

Marcin Kołpanowicz

Tutaj rządzi fantazja i kaprys. W marokańskich sprzętach, ubiorze i biżuterii obecne są zmysłowość, obietnica i przepych, ale czają się też pokusa, intryga i podstęp.



– o reżimie oszczędzania wody. Musiało jej wystarczyć dla ludzi i zwierząt przez dokładnie określony czas do następnej oazy.

MELANCHOLIA BERBERÓW

Surowość klimatu i bezwzględność pustynnego życia sprawiają, że na ulicach marokańskich miast i wsi mniej widzi się uśmiechu czy południowej wylewności niż w innych krajach położonych na podobnych szerokościach geograficznych. Zachowanie Berberów cechuje dumna powściągliwość, nawet pewna melancholia oraz niespieszność ruchów właściwa istotom zmuszonym do oszczędzania sił w upale. Nasz kierowca woził w samochodzie małą szklaneczkę, do której w przydrożnym barze kazał sobie nalewać herbaty. Ta nie-

Na ścianie restauracji w Bin El Oudaine naiwny fresk: pustynia, palmy, wielbłądy. I napis po arabsku i francusku: „Timbuktu – 52 dni”, który świadczy o konieczności ścisłego przestrzegania przez karawany harmonogramu podróży. A przy okazji

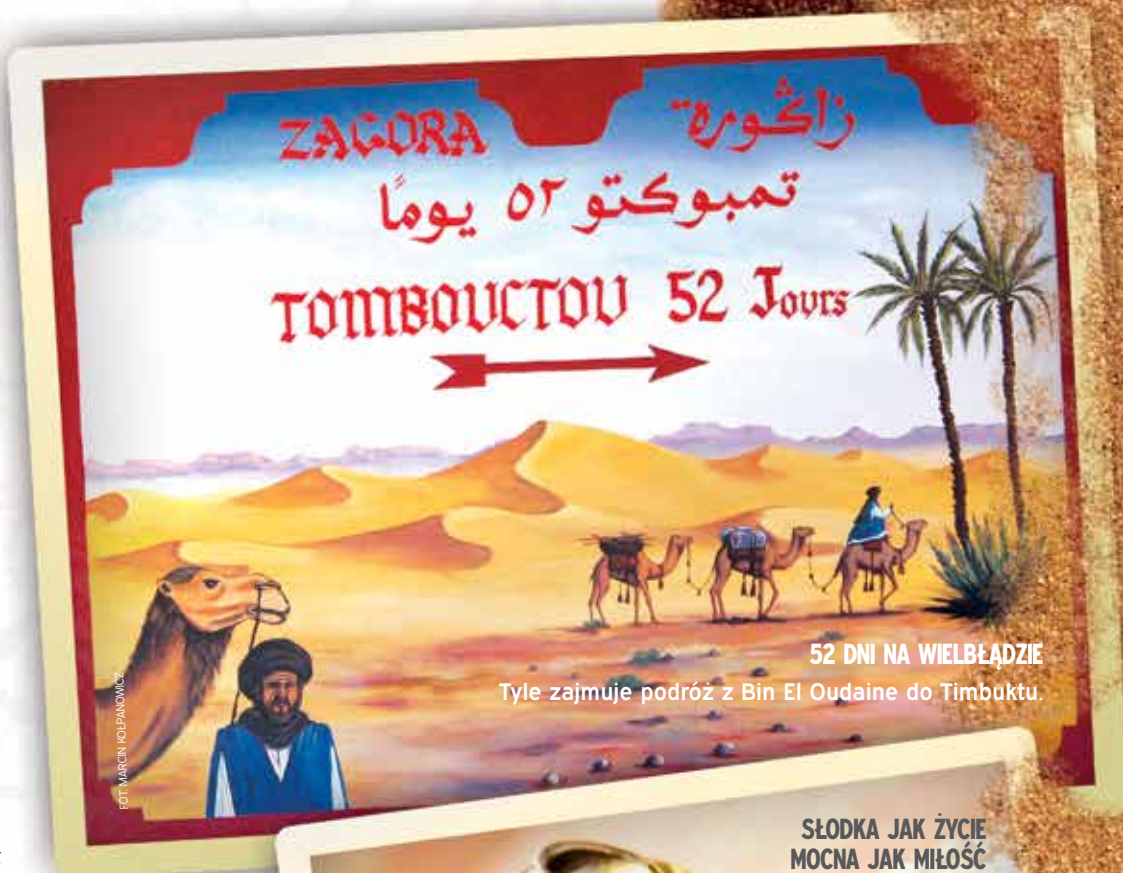
wielka ilość napoju wystarczała mu na cały dzień, gdyż zwyczajem pustynnych nomadów co godzinę pociągał małe łyżeczki (pijąc dużo i szybko, człowiek bardziej traci wodę).

Najpopularniejszym napojem Maroka jest serwowana w małych szklankach zielona herbata z gałązką świeżej mięty. Punktem honoru kelnera jest nalanie jej ze srebrnego czajniczka do szklanki jak najwęższą stróżką i z jak największej wysokości. Na stacjach benzynowych kolejnym „punktem honoru” jest wymacanie najmniej rozkruszonej kostki cukru. Barman wsadza (niezbyt sterylną) rękę do tekturowego pudełka, długo grzebie w cukrowym pyłe, przewracając utkwionymi w sufit oczami, by z triumfalną miną wyciągnąć biały sześciąt i położyć go na srebrnym talerzyku obok pokrytej misternymi wzorami szklanki z herbatą.

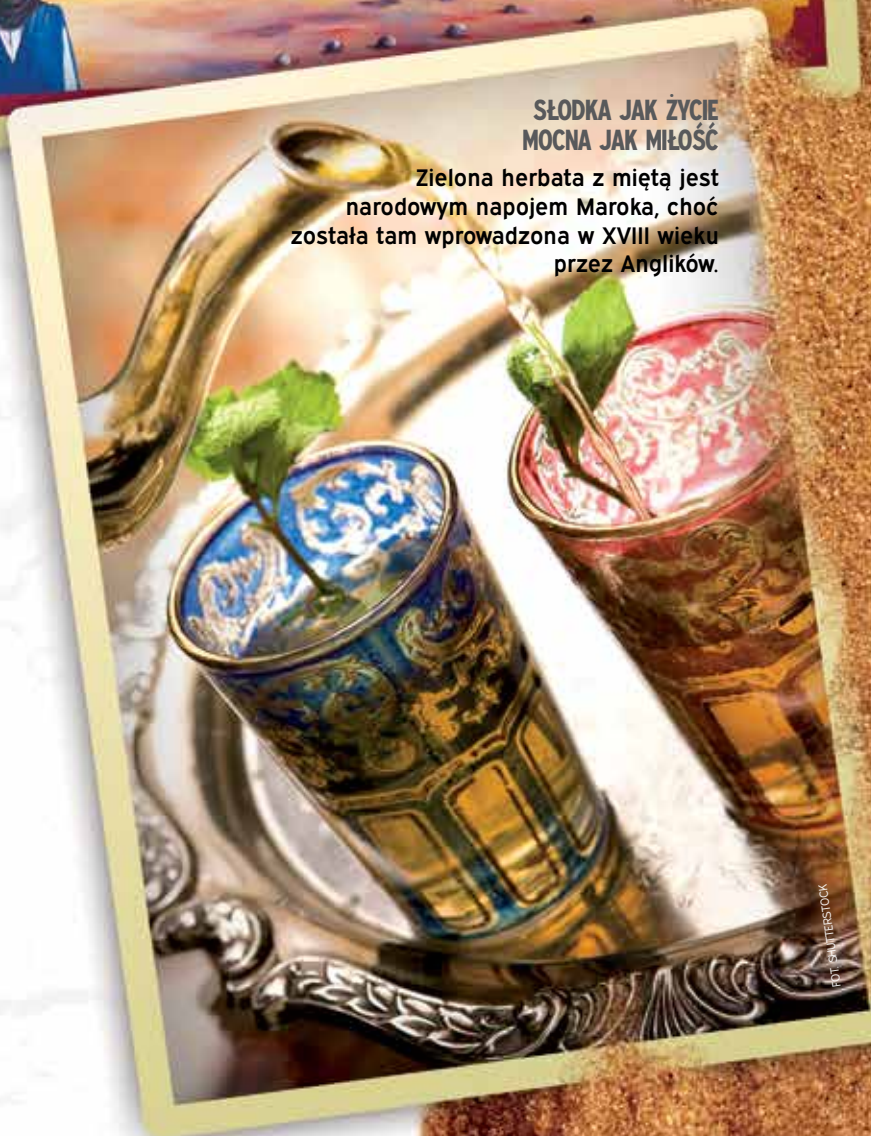
Upodobanie do ornamentu, które przedmioty codziennego użytku zmienia w niecodzienne obiekty zbytku, rzuca się w oczy przy pierwszym zetknięciu z Marokiem. Po jakimś czasie zauważa się, że poczucie estetyki i świadomość plastycznego efektu są wyróżnikami tutejszej kultury. Zapewne dlatego kraj ten od dawna przyciągał artystów – początkowo malarzy, później również pisarzy i filmowców.

RIJAD ZNACZY RAJ

Pionierem przecierającym szlak europejskim twórcom był sam Eugène Delacroix, który towarzyszył francuskiemu ambasadorowi Charlesowi de Mornay w jego misji do Algierii i Maroka w 1832 r. Zafascynowany słońcem



52 DNI NA WIELBŁĄDZIE
Tyle zajmuje podróż z Bin El Oudaine do Timbaktu.



**SŁODKA JAK ŻYCIE
MOCNA JAK MIŁOŚĆ**

Zielona herbata z mięta jest narodowym napojem Maroka, choć została tam wprowadzona w XVIII wieku przez Anglików.

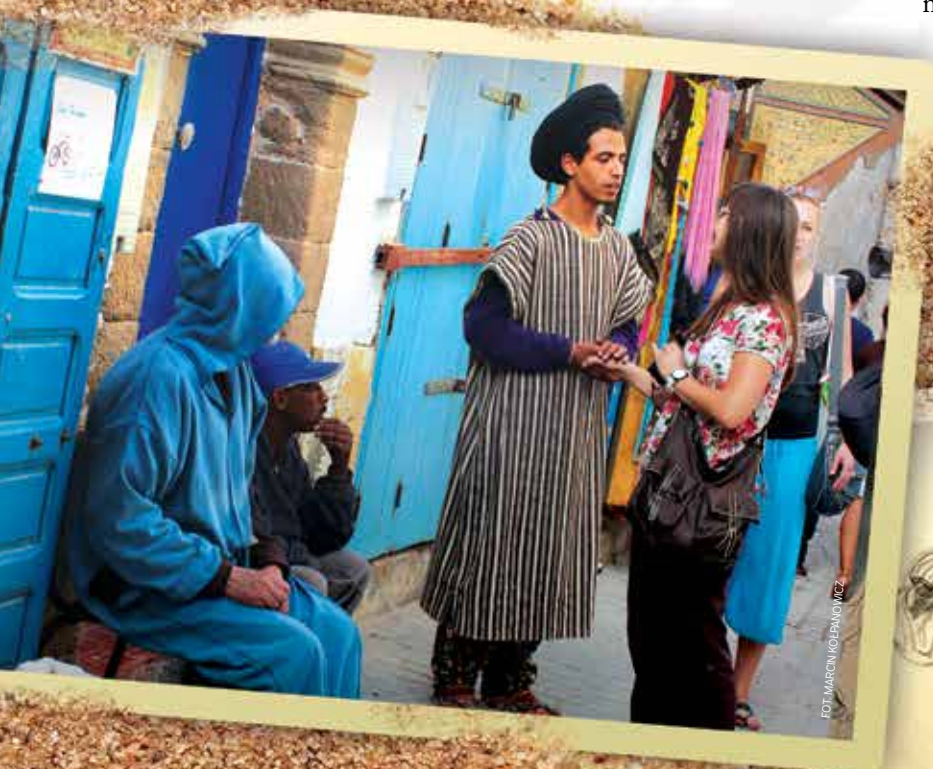
północnej Afryki, barwnością strojów Arabów, Berberów i licznie tu wówczas obecnych Żydów, a także niezwykłą urodą marokańskich kobiet, przez pół roku twórczego amoku zapełnił rysunkami i akwarelami siedem szkicowników. Miał później korzystać z nich przez wiele lat, tworząc swoje sławne orientalne obrazy.

Sztuka to kapryśna pani, i czę-

krajobrazów – cenna zarówno jako artystyczny rarytas, jak i źródło antropologicznej wiedzy o marokańskim stroju, broni i barwie.

Rysunki opatrywał Delacroix zwięzłymi notatkami: „Weszliśmy w głąb starego pałacu. Dziedziniec marmurowy, pośrodku fontanna, kolumny wokół podwórza z białego marmuru”.

Marmurowe, bogato zdobione dziedzińce z fontannami pośrodku, jakie zobaczyć można w hotelach Palais Salam w Tarudant czy Riad al Madina w As-Sawirze, uderzają przepychem

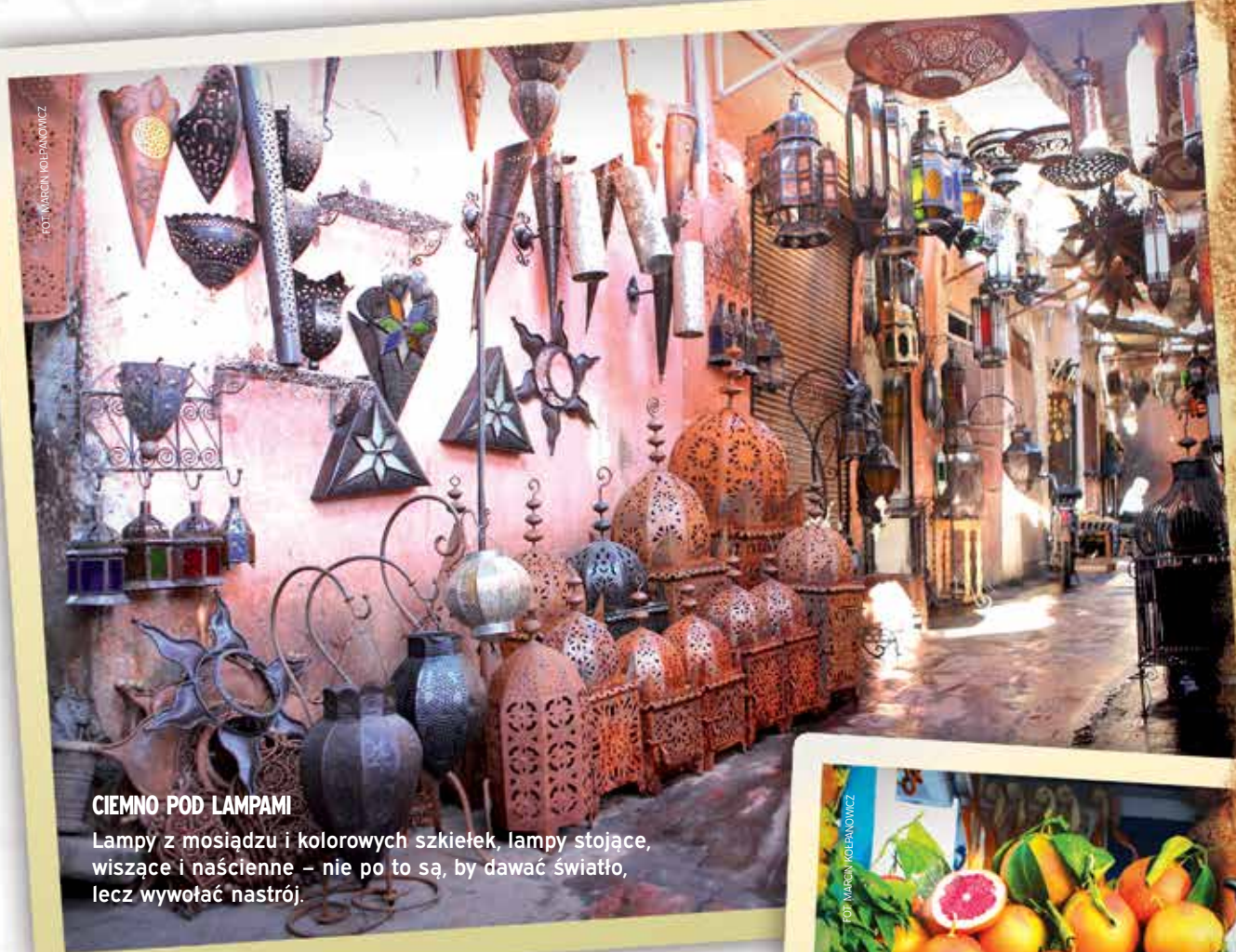


KOLORYT WIEKU DZIEWIĘTNASTEGO

Również dziś na ulicach Maroka można spotkać ludzi w strojach, jakie utrwalił Delacroix na swoich szkicach.

sto nie przychodzi tam, gdzie jej oczekują, lecz pojawia się w miejscach niespodziewanych. Dlatego wyżej niż obrazy olejne cenię te spontaniczne zapiski malarza: arcydzieła bezpośredniości i lakoniczności, w których konieczność błyskawicznego notowania wrażeń zaowocowała uzyskaniem maksymalnego efektu środkami minimalnymi. Marokańskie szkicowniki Delacroix, znajdujące się obecnie w Luwrze, to sugestywna panorama ludzi, strojów, koni,

użytych materiałów i pięknym architektonicznym detalu. Nic dziwnego, gdyż mieszczą się w prawdziwych, XVIII-wiecznych pałacach, będących niegdyś własnością najbogatszych marokańskich ro-



CIEMNO POD LAMPAMI

Lampy z mosiądzu i kolorowych szkiełek, lampy stojące, wiszące i naścienne – nie po to są, by dawać światło, lecz wywołać nastrój.

dów. Sercem pałacu jest dziedziniec – *al rijad* – co w języku arabskim oznacza dosłownie „ogrody”, a przenośnie „raj”. Przez stulecia wypracowano tu specyficzny kanon piękna, wyrażający się w symetrii i ornamencie. Sztuka islamu zakazuje przedstawiania ludzi i zwierząt, więc artyści wyżywali się w zagmatwanych do niemożliwości plecionkach, umieszczanych na mozaikach podłóg, szklwionych kafelkach zwanych *zelij* i stalaktytowo rzeźbionych zwieńczeniach bram.

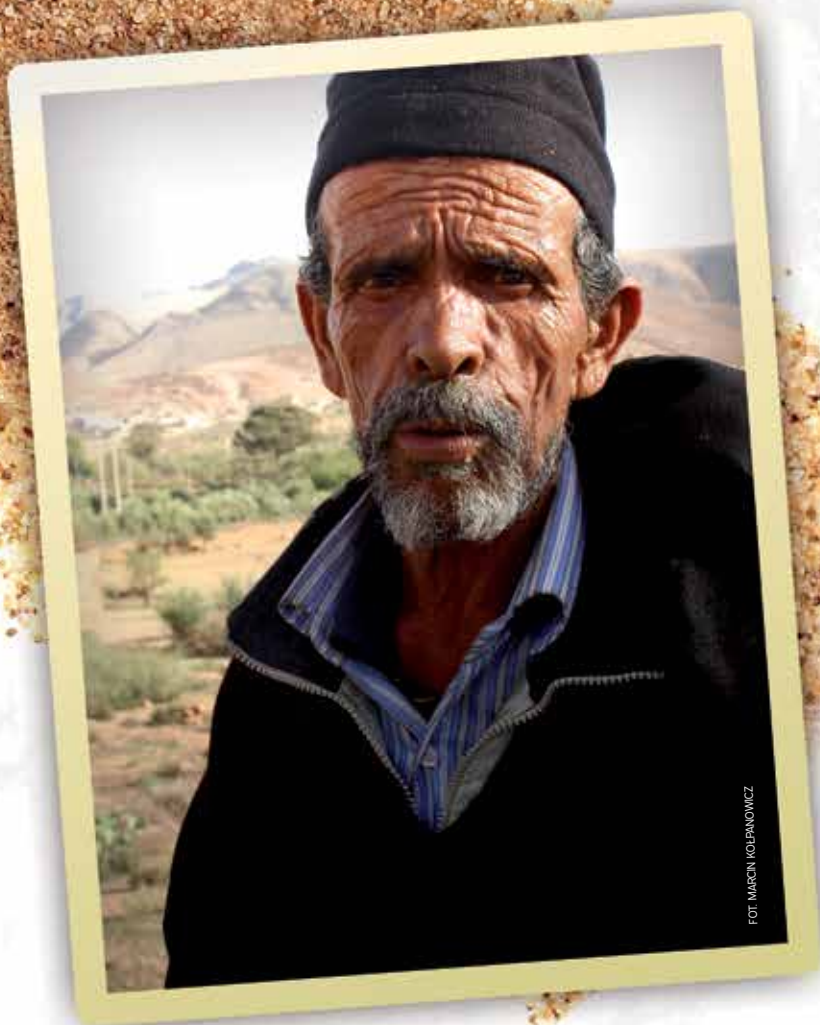
Obowiązkowym punktem *rijadu* jest sadzawka-fontanna pośrodku – dla Berberów woda była cenniejsza niż złoto, a szmer strumienia był dźwiękiem piękniejszym od brzęku monet. W ogrodach nie mogło zabraknąć roślin. Po „raju” roznosi się zapach pływających w sadzawce róż, a w koronach palm trwa świergot ptaków.

Pałace marokańskie nie były budowane według z góry ustalonego planu, a rozrastały się swobodnie i bezładnie w zależności od potrzeb ich właścicieli. W jednym budynku może być kilka różnych *rijadów*, a łączące je przejścia i korytarze tworzą zagmatwaną siatkę, podobną do tej, jaką spotyka się w zabudowaniach *medin*, i przypominającą strukturę marzenia sennego.



NATURALNE ARABESKI

Uliczny sprzedawca soków najpierw obdiera pomarańcze ze skóry, a dopiero potem daje im wycisk.



FOT. MARCIN KOLEPANIOWICZ

WOLNY BERBER

Nazwa Berber pochodzi od łacińskiego słowa *barbarus* oznaczającego barbarzyńcę. Jednak rdzenni mieszkańcy Afryki sami siebie określają mianem *Imazighen* – ludzi wolnych.

Ten nawyk komplikowania tras pozostał nawet w nowoczesnych hotelach, gdzie znalezienie drogi z pokoju do windy przeradza się niekiedy w poszukiwanie wyjścia z labiryntu.

Wiele miejsca poświęcił Delacroix opisom marokańskiej sztuki użytkowej. Pracowitość i zęczość rzemieślników do dziś jest niewiarygodna. To prawdziwi cudotwórcy – tworzą cuda z gliny, wełny, jedwabiu, drewna, skóry, kamieni, mosiądzu, miedzi i cyny. Cechuje ich wrodzone poczucie piękna, a także znajomość używanego materiału – stosowane przez pokolenia tajniki jego obróbki.

JEŹDZCY JAK MALOWANI

Pisał Delacroix: „Walczące konie. Jestem przekonany, że zobaczyłem najbardziej fantastyczne i lotne ruchy, jakie mogli sobie wyobrazić Gros i Rubens. Długą, niekończącą się chwilę nie można było ich rozdzielić”. Takie właśnie konie

obserwowaliśmy w hotelu Arian Horse w pobliżu As-Sawiry. Obok budynku hotelowego stoi elegancki, przysadzisty pawilon – stajnia, w której trzymają się konie czystej krwi arabskiej. Niektóre z nich są zwyczajcami wyścigów, i jako czempiony ubezpieczone są na zawrotne, sześciocyfrowe sumy (w dolarach). Pośrodku boksów mieści się przeznaczony dla koni solarium. W trakcie popisu stają dęba i symulują walkę, szczerząc siekacze i groźnie rżąc.

Wiele miejsca poświęcił malarz marokańskim jeźdźcom. Ich popisy, brawurowe szarże, zamiłowanie do oddawania w powietrze głośnych salw robiły na nim duże wrażenie. Dziś odżywiają sceny ze szkiców Delacroix – w kompleksie widowiskowo-restauracyjnym „Chez Ali” w Marrakeszu odbywa się rewia, będąca połączeniem żywego obrazu, widowiska światła i dźwięk, parady dromaderów i cyrkowej wołyżerki. Na pewno komercja, ale oryginalna i na wysokim poziomie.

Marokańska kuchnia „Chez Ali” (czyli: u Alego), niezbyt pikantna, łącząca mięso z warzywami i owocami w *tażinach* – służących do zapiekania glinianych naczyń – jest ze wszech miar godna polecenia (choć w Marrakeszu, i chyba w całym Maroku, nie ma sobie równych restauracja „Dar Moha”). A gdy już pochłonie się podawane na słodko potrawy z baraniny, drobiu i wielbłądźliny, a wszystko to spłucze różowym winem, można zasiąść na stromych trybunach i obejrzeć przemarsz berberyjskiej karawany, paradę zaprzęgów sułtana i salta akrobatów.

Największe wrażenie robią popisy jeźdźców, którzy wykonują skomplikowane ewolucje. Następnie szarżują w zwartym szyku prosto na trybuny i unisono strzelają w powietrze – z luf sypią się iskry, a dym długo unosi się nad ich głowami. Na zakończenie przez nocne niebo, pomiędzy dwiema wieżami *kazby*, przepływa... latający dywan z sułtanem i jego faworytą na pokładzie.

Tutaj także obejrzeć można marokańskich „lajkoników”, którzy kręcą się jak puszczone w ruch bąk. Suficy derwisze znani są z tego, że wpadają w trans podczas wirujących tańców, symbolizujących ruch ciał niebieskich i gwarantujących mistyczne zjednoczenie z Absolutem.

PLENERY DLA KAMERY

Podobno w 1897 roku oddelegowany do Maroka przez braci Lumière operator nakręcił „Marokańskiego jeźdźcę” (inni twierdzą z kolei, że był to „Marokański koziały”). Sława filmu, który jakoby znalazł się wśród pierwszych wyświetlanych na świecie ruchomych obrazów, była jak kamyk poruszający całą lawinę. Odtąd Maroko zaczęto nazywać mekką filmowców. Choć jeden z najslawniejszych filmów świata, „Casablanca”, kręcony był w Hollywood i z prawdziwą Casablancą (niezbyt zresztą malowniczą) niewiele ma wspólnego, to o fotogeniczności Maroka świadczy lista zrealizowanych tu obrazów: począwszy od „Otella” (nakręconego przez Orsona Wellesa) – poprzez tytuły takie jak „Lawrence z Arabii”, „Mojżesz”, „Kundun”, „Kleopatra”, „Gladiator”, „Ben Hur”, „Mumia”, „Aleksander” – na „Niepokonanych” Petera Weira skończywszy.

Damme czy Russell Crowe. Jeśli akurat trafi się na czas kręcenia zdjęć, na korytarzu lub w windzie hotelu Berberian Palace w Warzazacie otrzeć się można o którąś z przebywających tu gwiazd. Jeśli

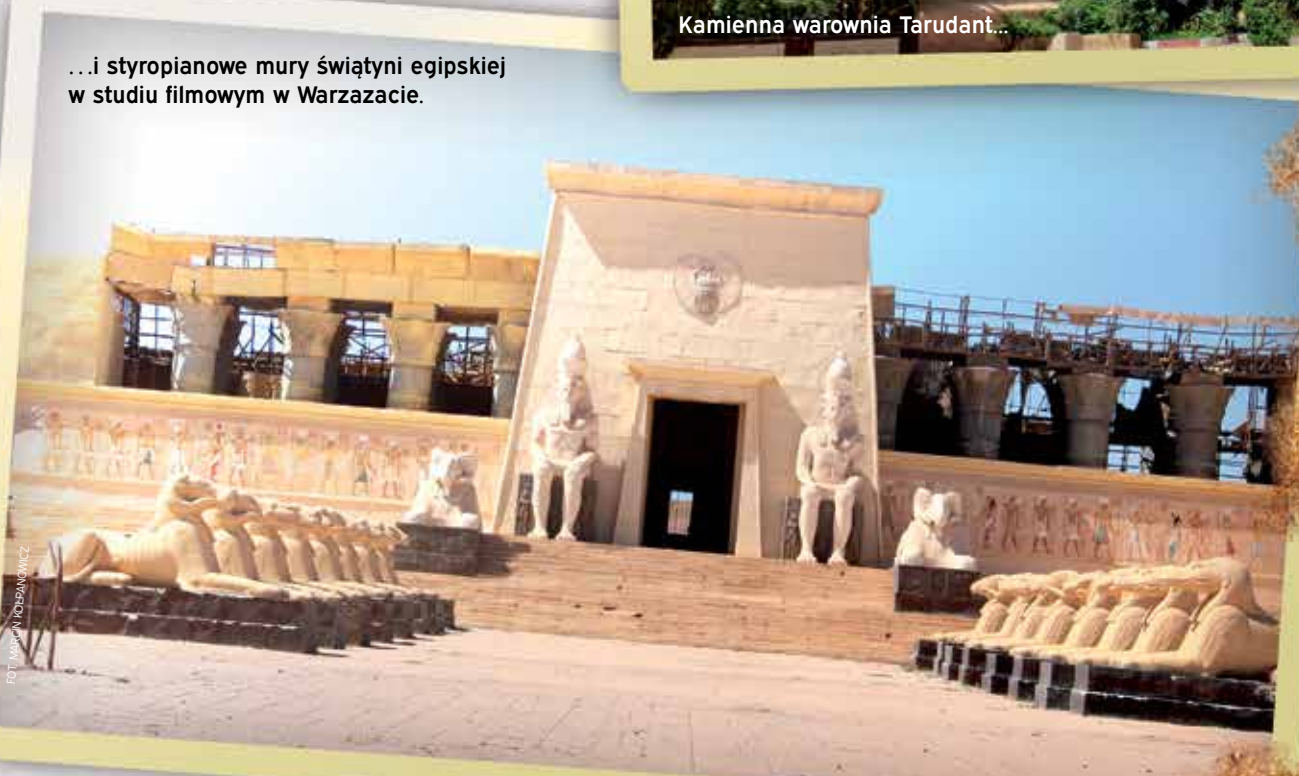


MURY MAROKA

Kamienna warownia Tarudant...

FOT. MAREK KOLPAKOWICZ

...i styropianowe mury świątyni egipskiej w studiu filmowym w Warzazacie.



FOT. MAREK KOLPAKOWICZ

Przez ostatnie 20 lat w dwóch studiach filmowych (ATLAS i CLA) w Warzazacie zrealizowano 42 filmy. Na plan filmowy przyjeżdżali tu: Omar Sharif, Kathleen Turner, Michael Douglas, Halle Berry, Jean-Claude van

zaś trwa przerwa w zdjęciach, warto w udostępnionych do zwiedzania studiach filmowych obejrzieć dokonania najlepszych na świecie

AJT BIN HADDU STUDIO

Trzydzieści kilometrów od Warzazatu leży stara malownicza osada Ajt Bin Haddu, w której murach kręcono kilka słynnych filmów, m.in. w 2000 roku „Gladiatora” i w 2004 „Aleksandra”.

scenografów i dekoratorów. Z egipskiej Alei Lwów przechodzi się spacerem do buddyjskiej świątyni, a z zaułków Jerozolimy do rzymskiego miasta (bardziej prawdziwego niż Pompeje i Herkulanum razem wzięte). Tylko pusty odgłos, gdy zastuka się w spatynowaną antyczną kolumnę, zdradza, że mamy do czynienia z żywicą poliuretanową.

W samym Warzazacie są dwa kina. Ożywają zazwyczaj przy okazji premier. Wtedy okoliczni mieszkańcy zapełniają sale kinowe – nie tyle po to, by przeżyć filmowe emocje, lecz aby rozpoznać na ekranie samych siebie, członków rodziny czy sąsiadów – bo statystowanie stało się głównym źródłem dochodu dla wielu rodzin z Warzazatu i okolic.

CHRZEST SAMOTNOŚCI

Tylko w Maroku mogą zdarzyć się kadry, w których na pierwszym planie widzi się wśród zieleni obsypane owocami drzewa granatu, dalej rozległą piaskową pustynię, a na horyzoncie ośnieżone szczyty Atlasu.

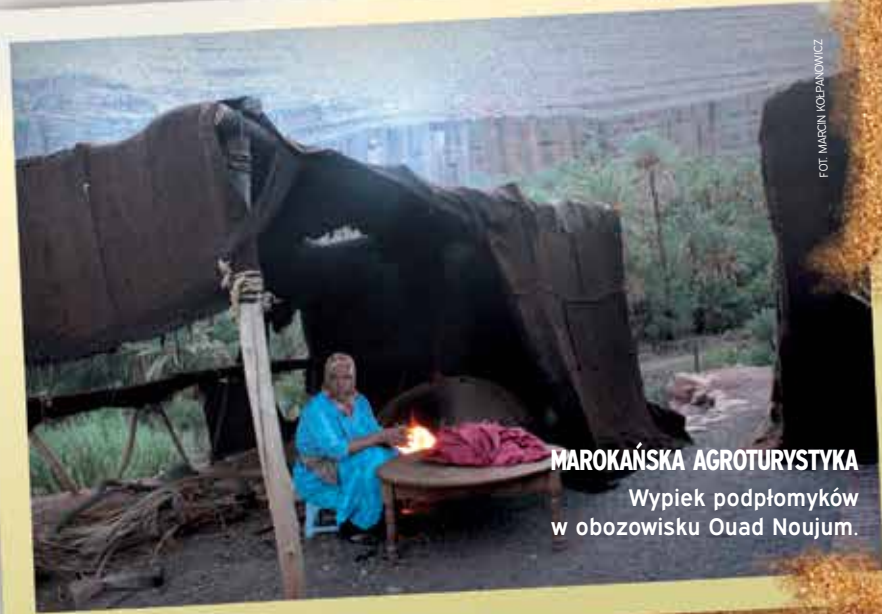
Mistyczne piękno kamiennych gór i apatię zamieszkujących je ludów sugestywnie ukazał film Bernardo Bertolucciego „The Sheltering Sky” („Pod osłoną nieba”), nakręcony na podstawie powieści Paula Bowlesa. Bowles to kolejny artysta zaczadzony Marokiem – ten amerykański kompozytor i pisarz, a zarazem podróżnik i outsider, większość swego życia spędził poza ojczyzną. Przez 52 lata mieszkał w nadmorskim Tangerze, skąd czynił wyprawy do wnętrza kraju. Towarzystwem wypraw był osioł, dźwigający na grzbiecie pianino kompozytora. Bowles obserwował obyczaje, zapisywał marokańską muzykę oraz tłumaczył na angielski utwory miejscowych pisarzy.

W swym eseju „Chrzest samotności”, który najlepiej opisuje egzystencjalne doświadczenie pustyni, pisał: „Kiedy człowiek raz znalazł się pod wpływem tej ogromnej, świetlistej, milczącej krainy, żadne inne miejsce nie będzie dla niego wystarczająco mocne, żadne inne otoczenie nie zapewni mu owego przynoszącego doskonałą satysfakcję doznania, że znalazł się pośrodku czegoś absolutnego. Będzie tam powracał, nie dbając o komfort i koszty, bo absolut nie ma ceny”.

Z Warzazatu do Ouad Noujum dojechać można terenowym samochodem. Warto wybrać się do tego niezwykłego miejsca – obozowiska namiotów z ciemnobrą-

zowej wielbłądziej wełny, rozbitego na zboczu skalistej doliny i kojarzącego się z przybytkami, w których bohaterowie opowiadań Bowlesa przeżywają niebezpieczne chwile upojenia z pustynnymi pięknosciami. W wiosce namiotów mieści się coś pomiędzy górskim schroniskiem a gospodarstwem agroturystycznym. Można tu przenocować w warunkach zbliżonych do tych, w jakich przez setki lat nocowali nomadzi, a za dnia wybrać się na wspinaczkę w pobliskie skały.

Najpiękniej jest o wschodzie słońca: w dolinie, której dnem meandruje niewielki strumień, widać zmierzwione pióropusze palm i pokryte mięsistymi owoca-



FOT. MARCIN KOLPANOWICZ

MAROKAŃSKA AGROTURYSTYKA
Wypiek podpłomyków
w obozowisku Ouad Noujum.

mi opuncje, a ponad nimi spektakularną panoramę – pionowe urwiska i rudy amfiteatr skalny, odpowiadający głośnym echem na pokrzykiwania wędrowców. To „brama pustyni”, ostatni łańcuch górski, za którym rozciąga się już tylko morze piachu (stąd do Timbuktu – 52 dni). ◉

JAK WYDOIĆ KOBYLĘ

Przemysław Kozłowski / TESTIGO DOCUMENTARY





Widok roztrzaskanych w dole aut wyzwala przyływ adrenaliny i religijności. Zmusza do spojrzenia w niebo oraz wypowiedzenia kilku słów w intencji szczęśliwej podróży. Jesteśmy na Pamir Highway. Na żadnym odcinku nie jest to autostrada, chyba że do piekła.



Jeszcze Tadżykistan, ale poczuć się już można jak w Kirgizji. Murgob jest ostatnim miastem przed granicą na słynnym Pamirskim Trakcie, zaczynającym się w Mazar-i Szarif w Afganistanie, przecinającym Uzbekistan i Tadżykistan, a kończącym się w kirgiskim Osz. Trakt pokrywa równy niczym durszlak radziecki asfalt, jedzie się więc jak po zwykłej drodze gruntowej, tyle że urozmaiconej przepaściami.

Murgop jest miastem najwyżej położonym w całym byłym „Sojuszu” (3650 m n.p.m.). Na tej wysokości już niewiele upraw się udaje,



więc Pamir Highway, leżąca na jednej z nitek słynnego Jedwabnego Szlaku, spełnia rolę głównego żywiciela Górskiego Badachszanu. Jest to zarazem „droga śmierci” – szlak przemytników opium i heroiny z Afganistanu. Z Osz jadą zatem transporty żywności, a w przeciwnym kierunku – tony opiatów.

RÓŻNE TWARZE, RÓŻNE MENTALNOŚCI

Do Osz z Murgobu jest 413 km przez księżycowo piękne, dzikie plateau, przecinające

najwyższą przełęcz Pamiru o nazwie Ak-baital (4655 m n.p.m.), która po kirgiskiu znaczy „Biała kobyła”. Musimy przebyć tę drogę najpóźniej następnego dnia po przyjeździe do Murgobu, bo kończy nam się tadżycka wiza. Nie kursują tu jednak autobusy, więc podróżni przeważnie zrzucają się na auto z szoferem.

Włóczę się po bazarze, piaskowych uliczkach miasta o płaskiej parterowej zabudowie i rozpytuję o transport. Zapuszczam się nad rzekę o tej samej co miasto nazwie, pochodzi ona z perskiego i oznacza „Rzekę ptaków”. Nad jej brzegiem, jak i w całym mieście, spo-

NA PAMIRSKIM TRAKCIE

Kolejna przerwa w drodze do Osz. W leciwej, zbyt obciążonej wóldze znowu zagotowała się woda w chłodnicy.



W STEPIE SZEROKIM

Pastwiska nad jeziorem Songköl, drugim co do wielkości w Kirgistanie.



FOT. PRZEWSŁAW KOZŁOWSKI / TESTIGO DOCUMENTARY



FOT. PRZEMISŁAW HOZŁOWSKI / TESTIGO DOCUMENTARY

SPOTKANIE NA PRZEŁĘCZY

**Podczas wędrówki
w górach Tianszan,
na przełęczy Kyzart
(2670 m n.p.m.).**

tkać można tyle samo okrągłych, skośnookich twarzy kirgiskich o wysokich kościach policzkowych, co pamiirskich – pociągłych, orlonych i o regularnych rysach.

Różnice w tadżyckich i kirgiskich nazwach dają wyobrażenie o różnicach w mentalności. Z jednej strony poetycka „Rzeka ptaków”, z drugiej przyziemna „Biała kobyła” – żywicielka koczowników, którzy dopiero podczas radzieckiej kolektywizacji zmuszeni zostali do przejścia na osiadły tryb życia.

Młody Kirgiz chce za kurs 200 dolarów. Nie damy tyle, więc uzgadniamy, że zabierze jeszcze dodatkowe osoby i każdy zapłaci po 40 USD. Niemilosiernie obciążona wołga trze na wertepach o kamienistą drogę. Przy podejź-

dzie na przełęcz woda gotuje się w chłodnicy, a my – z ciasnoty i wściekłości – na szofera.

TRON KRÓLA SALOMONA

Jest trzecia nad ranem. Od szesnastu godzin jesteśmy w drodze, a teraz krążymy wołgą po mieście, szukając noclegu. Uparliśmy się, żeby spać w „Osh Guesthouse”, bo tam można spotkać najwięcej backpackerów, a z nimi wymienić informacje lub zrzucić się na dalszy transport. Jednak w okolicy podanego adresu nie ma niczego, co by przypominało hostel. Z opresji ratuje nas cwany szoferak, zapraszając na noc do swojego domu. Padamy zmęczeni na dywan i śpimy twardo aż do śniadania



MLEKO WYSOKOWE

Stragan z kumysem, tradycyjnym napojem alkoholowym z kobyłego mleka.



– dymiącej kaszy mannej z wiśniową konfiturą – którym częstuje mama kierowcy. Za gościnę kasują po 10 dolarów.

Wymarzony „Osh Guesthouse” uda się znaleźć dopiero za 10 dni, przy drugiej wizycie w mieście. Nieoznakowany mieści się w czteropiętrowym bloku z wyrwanymi drzwiami wejściowymi, przed którym kirgiskie rodziny, pielęgnując koczownicze tradycje, gotują posiłki w wielkim garze.

Osz to jedno z najstarszych miast Azji Centralnej. Legenda mówi, że założył je biblijny król Salomon (dla muzułmanów – prorok Sulejman). Zachodzimy kupić chrupiące lepioszki – okrągłe chlebki posypane sezamem. Na bazarze pamiętającym początki Jedwabne-

go Szlaku (Osz był jednym z centrów produkcji jedwabiu) handlują Kirgizi, Uzbecy, Tadzycy. Niby w zgodzie, ale podszytej nieufnością. Choć Kirgizi i Uzbecy to ludy tureckie (w Osz jest ich mniej więcej po równo) i dogadują się bez tłumacza, to napięcia się zdarzają. Tyle że tutaj, jak już zaiskrzy – to śmiertelnie. W roku

ŚLIZGAWKA PŁODNOŚCI

Tron Salomona to grzbiet górski kształtem przypominający brzuch ciężarnej. Młode kobiety zjeżdżają ze skalnej ślizgawki, aby zapewnić sobie płodność.



FOT. PRZEMISŁAW WOZIOŁOWSKI / TESTIGO DOCUMENTARY

PRIVET CZY HELLO?

Biszkek to najbardziej zrusyfikowane i zarazem zachodnizowane miasto byłych azjatyckich republik radzieckich. Prawie wszyscy mówią tu po rosyjsku, a równocześnie młodzież ubiera się na zachodnią modłę, jak tych trzech hipopowców – dwóch Kirgizów i Uzbek.

1990 zginęło w pogromach ponad 300 osób, a w 2010 ofiar było przynajmniej o 100 więcej.

Po bazarze przemijają niczym zjawy zakwefione kobiety. Choć kirgiski islam nie jest głęboki (koczownicy wzięli z nowej religii tyle, ile zdołali wrzucić na konia), silne są tu wpływy islamistów z Kotliny Fergańskiej. Zdarzało się, że porywali obcokrajowców, a etniczne zamieszki z 2010 roku, zapoczątkowane przewrotem w Biszkeku, próbowali wykorzystać do utworzenia wyznaniowego państwa szariat. W ustabilizowanie kraju wmieszali się finansowo Rosjanie, którym zależy na utrzymaniu wpływów i spokoju w regionie.

Tron Salomona to skalisty grzbiet górski wyrastający niemal w centrum miasta, kształtem przypominający brzuch ciężarnej kobiety. Na jego szczyt prowadzi półgodzinna wspinaczka. Po drodze mijamy naturalną kamienną ślizgawkę z rynną wyżłobioną tysiącami kobiecych pośladek. Do zjeżdżalni ustawiła się właśnie kolejka dziewczyn, wierzących, że zjazd po skale zapewni pomyślną ciążę...

Tuż obok znajduje się Dom Babura – małe sanktuarium muzułmańskie. Stąd miał spoglądać na założone przez siebie miasto król Salomon. Do małej platformy widokowej stoi ogonek chętnych na fotkę z widokiem Kotliny Fergańskiej. Meczet kazał tu zbudować pod koniec XV w. król Fergany, Babur, późniejszy zdobywca północnych Indii i założyciel państwa Wielkich Mogołów. Miejsce stało się celem pielgrzymek sufich. Ci muzułmańscy mistycy, dzięki swej tolerancji na inne wierzenia, najskuteczniej krzewili islam wśród wyznających szamanizm nomadów.

BISZKEK ZMIENNYCH WPLYWÓW

Jedziemy na północ do stolicy. Od południowych prowincji oddziela ją pasmo Tienszan. Droga jest dobra, bo rząd chciał zbliżyć zindustrializowaną, zlaicyzowaną Północ do rolniczego, konserwatywnego Południa. Stajemy na kolację w przyrodznej jurcie, gdzie dostają

górze łykowatej, spieczonej na węgiel baraniny z ostrą jak ujugurski nóż cebulą, i miskę kumysu. Zanurzam usta w czarce i czuję smak kefiru. Nie jest źle, ale gdy przełykam napój, pozostaje absmak wędzonej goryczy. Ból brzucha zaczyna się po godzinie i nie odpuszcza przez następne dwa dni.

W Biszkeku zatrzymujemy się w domowym hostelu braci Sabyrbek. Dwuosobowy pokój? Proszę bardzo. Dostajemy dwuosobowe łóżko oddzielone od reszty dużego pomieszczenia szafą i zasłonką. Nad nami czuwa Lenin, wygrawerowany na zawieszonym na ścianie talerzu. Obok wisi makatka z Mekki.

Śniadanie jemy w słonecznym ogrodzie, w cieniu gałęzi uginających się pod ciężarem owoców wiśni i moreli. Ryszard Kapuściński pisze, że stolica Frunze (dziś Biszkek) ma najlepszy klimat spośród stolic azjatyckich republik. Dlatego Rosjanie, którym przyszło żyć w Azji, najchętniej się tu osiedlają.

Obecnie jest to dziwny melanz pozostawłości rosyjskich i sowieckich oraz wpływów islamskich, nacjonalistycznych i zachodnich (na nieodległym cywilnym lotnisku Manas znajduje się amerykańska baza wojskowa). Widać to w rozległych parkach i na placach ciągnących się wzdłuż głównej ulicy Czuj Prospekt. Tak ubranej młodzieży nie widzieliśmy w innych postradzieckich krajach. Spacerują tu chłopcy zainspirowani modą italo disco oraz dziewczyny w miniówkach, pod drzewami zaś siedzą metalowcy i punki. Trzech nastolatków – dwóch Kirgizów i Uzbek – ubranych dokładnie jak z hipopowego teledysku, na nasz widok przyjmuje pozy wyuczone z MTV i przybija nam „piątki”.

Wokół potężnego pomnika Lenina, który wciąż trwa, choć w miejscu mniej reprezentacyjnym, spacerują muzułmanki z dziećmi. Jest jeszcze pomnik Michaiła Frunze, który podbijał dla Sowietów Azję Centralną, a także



Z KOPYTA

Młody kowboj wyrusza wieczorem po bydło, aby zagonić je z pastwiska do zagrody.

SALON NA STEPIE

Dekoracyjne wnętrze kirgiskiej jurty.
Z zewnątrz nic nie zapowiada takiego przepychu.



Marksa i Engelsa siedzących na ławeczce i czule wpatrzonych w siebie. Z nowości, postawiono monument Manasa – bohatera epopei narodowej oraz kilka pomników niepodległości.

JURTOTURYSTYKA

Jesteśmy w mieście Koczkor, gdzie chcemy wynająć konie, aby wypuścić się w Tienszan. Przewodnika i wierzchowce wynajmujemy w biurze Community Based Tourism, organizacji zrzeszającej pasterzy, którzy przyjmują w swych jurtach turystów. Jest to nasz pierwszy kontakt z końmi, prosimy więc o spokojne okazy.

Koniki górskie okazały się nie tyle spokojne, co leniwe. Na stromych podjazdach muszą zsiadać i ciągnąć (wał)konia za uzdę. Przez trzy dni przemierzamy niekończące się, połańdowane pastwiska i brązowo-zielono-rude wzgórza bez jednego drzewka. Przecinamy potoki i docieramy nad jezioro Songköl, drugie co do wielkości w Kirgistanie. Noce spędzamy w jurtach – niepozornych z zewnątrz, szarych, wełnianych grzybkach, w środku jednak przepięknie zdobionych barwnymi tkaninami i filcowymi pokryciami ścian.

Próbuję na moim koniku, razem z dziesięcioletnim kowbojem, zaganiać krowy do zagrody, ale nie nadążam, bo on leci na swym rumaku przez step jak wiatr. Później podpatruję, jak z bratem doją kłacze, a ich ojciec robi kumys. Aby kobyła dała mleka, młodszy z braci dostawia do wymiona żrebaka. Gdy malec zassie mleko, chłopak odciąga go, zaś starszy klęka z wiadrzem przy klaczy i doi.

Pasterze są mili, trochę nieśmiali i karmią nas wspaniale (pyszne kotlety rybne), ale kontakty z nimi nie wykraczają na milimetr poza układ turysta – gospodarz. Z pewnym rozrzewnieniem wspominamy gościnność innych azjatyckich ludów. Ci koczownicy potrzebują chyba więcej czasu, aby oswoić się z obcymi.

KIRGIZ ŚPIEWA „TAKE IT EASY”

Wkrótce musimy opuścić Kirgistan, gdyż lada dzień wygaśnie nam ważność chińskiej wizy. Aby dojechać do Chin, trzeba wrócić do Biskeku, stamtąd do Osz, i wreszcie na granicę.

Z Biskeku dwaj bracia zabrali nas podrasowaną „fura”. Całą drogę pędzili jak stracenci, a my błagaliśmy, by zwolnili. Gdy na jednym z ostrych zakrętów chłopak stracił panowanie nad autem, które obróciło się wokół własnej osi, nie wytrzymałem napięcia i zrobiłem awanturę. Chłopcy uśmiechnęli się, wrzucili kasetę z przebojem Mika „Relax, take it easy” i zaśpiewali z podkładem.

Przez trzy miesiące podróżowaliśmy po byłych republikach ZSRR. Za przewodnik mieliśmy książkę Ryszarda Kapuścińskiego „Kirgiz schodzi z konia”, którą guru reportażu popełnił ponad czterdzieści lat wcześniej. Od tego czasu na postsowieckim obszarze zaszły zmiany trudne wcześniej do przewidzenia. No, może z jednym wyjątkiem – że Kirgiz z konia szybko nie zejdzie, chociaż nie pogardzi też mechanicznymi. ○



PRZYDROŻNY SZABLON MODY

Kołpak to tradycyjna czapka Kirgizów, zrobiona z białego i czarnego haftowanego filcu. Jest nadal popularny, co widać zarówno po noszących go mieszkańcach, jak i przydrożnych dziełach metaloplastyki.



Do katedry w Edynburgu wchodzi się przez automatycznie otwierane drzwi jak z pobliskiego Marksa & Spencera. Ale przynajmniej w środku jest cicho.



to jest chlubny wyjątek. Może dlatego, że edynburska katedra katolicka nie jest jakimś szczególnym zabytkiem, ot XIX-wieczny kościół, jakich wiele, bo już u anglikanów u św. Idziego jest tak, jak na całym świecie: huk, hałas, harmider i pozostałe pułapki ortograficzne, chamstwa gawiedzi nie wyłączając.

Szok przeżyłem w paryskiej Notre Dame ponad dekadę temu. Wrzaski, nawoływania, rozbawione grupy i grupki, komórki i aparaty fotograficzne w akcji cały czas, guma do żucia w co drugiej gębuli. Gdzieś z boku, za kilkoma tabliczkami, miejsce z Najświętszym Sakramentem – maszerujące tłumy nie przerywają przekrzykiwań i rozmów telefonicznych, niemal nikt nie przystaje, o klęknięciu nie mówiąc. Wyszedłem autentycznie wstrząśnięty. Po chwili doszedł do mnie mój przyjaciel, Polak, z którym zwiedzałem katedrę. – *Wiesz, ja przecież jestem agnostykiem, ale za robienie takiego byłby paliłbym na stosie* – rzucił przez zaciśnięte zęby.

Wtedy zrzuciliśmy to na karb źle wychowanej gówniarzerii, zlaicyzowanej Francji i ponowoczesnego świata – ot, taki dyżurny zestaw. Napięcie rozładowaliśmy armaniakiem. Wtedy był to dla nas szok. Wtedy nie byłem jeszcze w Strasburgu...

Piękny alzacki Strasburg też ma swą katedrę. Tak jak nie sposób jej przeoczyć, bo dumnie stoi w centrum miasta, tak też i nie sposób do niej wejść: przerwa na lunch trwa tam jakieś pół dnia, a przez pozostałą połowę katedra wykorzystywana jest na biletowane koncerty i przedstawienia. Kiedy w końcu udaje ci się, człowiecze marny, wcisnąć, zapomnij o chwili wytchnienia – tam dopiero masz jarmark i bigosowanie na całego.

Ale Strasburg poszedł o krok dalej – o ile w Paryżu jest wydzielone wstydliwie jakimś pleksi miejsce dla katolickich talibów, którzy nie mogą się powstrzymać i muszą się w katedrze modlić, fanatycy po prostu i dziwadła średniowieczne ze sztychów Hieronima Boscha,

to w Strasburgu z tego zrezygnowano. Wyzwolona z przesądów strasburska katedra w całości oddana jest przechadzającym się, zajadającym kanapeczki, popijającym swe napoje i rozmawiającym przez swe smartfony światłym Europejczykom. Element wsteczny ma do swej dyspozycji boczne kaplice, ale całkiem słusznie są one permanentnie zamknięte, a jedną zawalono jakimiś rupieciami.

Takie historie można mnożyć, bo podobnie jest w katedrach włoskich, niderlandzkich, niemieckich. Tak, wiem, że to dokładnie to samo w średniowieczu – to w końcu wtedy wielkie kościoły zmieniły się w miejsca ubijania targu i centra życia towarzyskiego, a jakby kto chciał głębiej sięgać, przypominałby sobie zapewne opowieść o Nazarejczyku przepędzającym kupców ze świątyni jerozolimskiej.

Śmiem jednak twierdzić, że tym razem to coś innego – w końcu od robienia interesów są giełdy (w wersji Mira i kumpli – stacje benzynowe i cmenta-

rze), a od spotkań towarzyskich knajpy. Europejczykowi nie tylko zanika wrażliwość na sferę sacrum, ale i elementarne zrozumienie, skąd się wziął, co spowodowało, że nie jest już półdzikim pastuchem, co tak naprawdę po jego podpadającym kontynencie pozostało.

Zasadniczo nie jestem zapraszany na objazdy turystyczne, i dobrze, bo kiepsko znoszę tłum. Jesienią ubiegłego roku trafiłem jednak z kilkoma osobami z Polski nad Ren i Mozęłę – Niemcy postanowili pochwalić się swoimi winnymi szlakami. I chwalili się – mieliśmy czas na przejażdżkę rowerową wzdłuż Renu i tymże Renem romantyczny rejs statkiem, pokazywano nam nudnawe w swej malowniczości miasteczka i absurdalne rzymskie ruiny. Mnie i kolegę ratowały wizyty u winiarzy i degustacje, ale trafiliśmy też do dużych miast. W Trewirze na najstarszą katedrę w Niemczech przewidziano dziesięć minut. To i tak o dziesięć więcej niż w Moguncji.

Przemiełe skądinąd organizatorki chyba nie do końca rozumiały, co do nich mówię, że uniwersytet, że katedra to jedyne, co Europa dała światu, że nie trzeba być talibem ani zasuszonym w bibliotece nudziarzem w sztruksach, by to rozumieć, że tamto, że owamto. A nie podobał ci się rejs po Renie? Nie, no fajny był, ale... No właśnie, sam mówisz, że fajny, a rowery? Rowery też OK. No skoro tak, to o co chodzi? A właściwie to o nic.

Jedną z najbardziej ekscytujących przygód w Bagdadzie było nie tylko włóczenie się po tamtejszych meczetach, ale i spacer po dachach starych budynków tamtejszego uniwersytetu. Nie mówię po arabsku ani nie odczuwam fascynacji islamem, ale te miejsca – myślałem wtedy i myślę dziś – mówią o tych ludziach więcej niż najfajniejsze bagdadzkie knajpy. Dlatego tym większe było moje zdumienie w Niemczech, że nie tylko Niemcy nie chcą chwalić się tym, co mają wyjątkowego, ale i nikt z mojej grupy nie miał specjalnej ochoty na spacer po Moguncji. Hm, jeśli nie ze względu na uniwersytety i katedry, no może jeszcze muzea, to właściwie po co do Niemiec jeździć?

Ale wróćmy do naszych, choć tym razem nie do końca naszych, katedr. Otóż przypominała mi się wizyta w Nha Tho Chanh Toa Da Lat, czyli po naszymu w katedrze w Dalat, południowowietnamskim kurorcie. Trafiłem tam na spotkanie kilku setek dzieci przygotowujących się do pierwszej komunii. Cisza jak ryżem zasiał. I, o dziwo, dzieciarnia nie

mbijskiego buszu, dzień drogi dżipem od najbliższego asfaltu. Bił z nich nie tylko autentyzm, ale i pokora, było jakieś zrozumienie istoty rzeczy. Nie mam tej lekkości stylu i mądrości Moniki Richardson, więc nim pograżę się bez końca w banale i pretensjonalności, upozoruję atak kaszlu albo i serca, czym zakończę ten wywód.

michalpauli.pl

Michał PAULI

12 x śmierć

piekło w raju

BESTSELLER
NOWE I POSZERZONE
WYDANIE

artiest
WYDAWNICTWO

12 x śmierć
piekło w raju

Michał PAULI

Rozszerzona wersja bestsellera
dostępna również jako e-book

wyglądała jak w chińskim obozie pracy dla małoletnich – roześmiane, łobuzerskie buzie, szepty, słowem: normalne, radosne dzieciaki. Ci ludzie, pomyślałem z zazdrością, rozumieją więcej niż my.

To samo poczucie miałem później w każdej z tych roztańczonych, rozwibrowanych świątyń afrykańskich – od katedr w Mombasie, Lusace czy Kampali po kryte słomą kapliczki w sercu za-

Może tylko drobna uwaga na koniec, że w mym pustym, białym, kolonistycznym łbie takie sformułowania jak katedra w Dalat, Bujumburze czy Maputo wciąż brzmią jak oksymorony... Ale oksymorony witane z szerokim, życzliwym uśmiechem. Na pohybel białasom, niech szczeną Francuzi! ◯

ANTARKTYDA

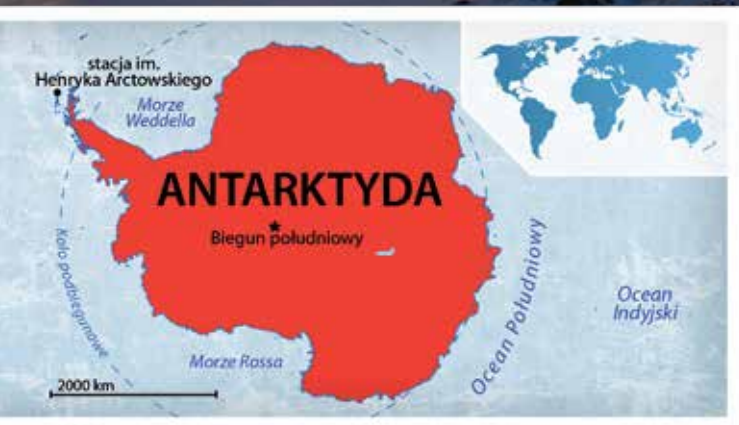
Mikołaj Golachowski

TAM, GDZIE RZĄDZĄ ZWIERZĘTA

Antarktyka to wielkie królestwo zwierząt,
w którym niepodzielną i absolutną władzę
sprawuje przyroda, a człowiekowi pozostaje
rola grzecznego gościa.



FOT. MIKŁAJ GOLACHOŃSKI



Cala kraina wokół Antarktydy – piątego pod względem wielkości kontynentu – zwana Antarktyką, jest największym obszarem na świecie, którego człowiek praktycznie nie zmienił. Wprawdzie wiek XIX i połowa XX pozostawiły w tamtejszym eko-

systemie bliznę po działalności poławiaczy fok, uchatki i wielorybów, ale poza tym niewiele złego tam się stało. W każdym razie nie tyle, żeby wśród polarnej fauny utrwalił się lęk przed homo sapiens.

Na Antarktydzie nigdy nie było rdzennej ludności. Nie ma tam również żadnych lądowych drapieżników – przecież niedźwiedzie polarne żyją na drugim końcu świata. Wszystko to sprawia, że prawdziwi mieszkańcy tego kontynentu nie mają pojęcia, iż kogokolwiek na lądzie powinni się obawiać. Dlatego pingwiny, zwłaszcza młode, śmiało podchodzą do ludzi, żeby przekonać się, kim są te dziw-

PALMA ODBIŁA

Długotrwała izolacja i odległość od bliskich sprawiają, że pracownikom stacji czasem przychodzą do głowy dziwne pomysły, jak wkopanie przed budynkiem sztucznej palmy.



FOT. MIKOŁAJ GOLACHOWSKI

ne stworzy, zaś młode słonie morskie i uchatki zbiegają się z całej plaży, żeby przywitać eksydujące nowe ssaki, z którymi warto się zaprzyjaźnić.

NASZ DOM NA KOŃCU ŚWIATA

Pierwszy raz dotarłem tam ponad dziesięć lat temu, na pokładzie rosyjskiego statku „Polar Pionier”. To właśnie nim polskie wyprawy antarktyczne docierają na stację im. Henryka Arctowskiego zawsze na początku listopada (czyli antarktyczną wiosną). Stacja działa nieprzerwanie od 26 lutego 1977 roku na Wyspie

ZIMOWE WAKACJE

Zima na Arctowskim to czas spokoju. Ludzi jest mało, większość prac jest wstrzymana do kolejnego lata, więc sprzęt pływający także odpoczywa.



FOT. MIKOŁAJ GOLACHOWSKI



FOT. MIKOŁAJ GOLACHOWSKI

Króla Jerzego, w archipelagu Szetlandów Południowych – około 60 kilometrów od polarnego kontynentu.

Statek dostarcza wszystko, czego polarnicy będą potrzebowali przez cały rok – paliwo, żywność, materiały techniczne i naukowe. Przywozi także około trzydziestu „letników” oraz grupkę osób, które pozostaną tam również przez zimę. Po kilku dniach trudnego rozładunku (morze pełne jest jeszcze lodowych brył) „Polar Pionier” zabiera starą zmianę „zimowników” i odpływa.

Jaskrawożółte – żeby łatwiej odnaleźć je w śnieżycy – budynki „Arctowskiego” zbudowane są z praktycznych, prostych modułów, pozbawionych jakichkolwiek ozdób. Z zewnątrz nie wyglądają przytulnie, ale za to w środku, zwłaszcza w głównym budynku mieszkalnym z racji kształtu zwanym samo-

TURYSTYCZNY DESANT

Goście odwiedzający Antarktykę docierają ze statków na brzeg pontonami.



lotem, jest ciepło i wygodnie. Jego drewniany wystrój przypomina górskie schronisko. To prawdziwy dom na końcu świata.

Polska stacja, od dawna zarządzana przez Zakład Biologii Antarktyki PAN, zajmuje się przede wszystkim badaniem morskiego ekosystemu – od bakterii przez drobne bezkręgowce, ryby i ptaki aż po słonie morskie. Jednak badania prowadzone tu nie ograniczają się

tylko do biologii, obejmują bowiem również geofizykę, geologię, glaciologię i oceanografię. Intensywnym zajęciom sprzyjają warunki letnie, kiedy wszystkie zwierzęta, zajęte rozrodem, są na miejscu, i kiedy zaśnieżenie jest mniejsze. Latem przeprowadza się też ważniejsze prace techniczno-remontowe.

Większy ruch na stacji kończy się na początku marca, kiedy świat na nowo otula śnież-



na pierzyna. Wtedy zadaniem polarników jest utrzymanie stacji w ruchu aż do kolejnej wiosny. Naukowcy prowadzą wówczas jedynie obserwacje meteorologiczne, monitoring lodowców oraz liczebności ssaków morskich, a także, w miarę możliwości, analizy próbek zebranych w ciągu lata.

Polska stacja znajduje się jeszcze przed kręgiem polarnym, więc nawet w środku zimy

pojawia się kilka godzin słonecznego światła. Dlatego, jeśli trafi się wolna chwila, można wybrać się na wycieczkę po okolicznych górach. Polarna zima jest też dobrą okazją do poobcowania z własnymi myślami, a nawet odkrycia różnego rodzaju talentów, od poetyckich po rzeźbiarskie. Przeczytać można również wszystkie zaległe lektury.

DO GÓRY LODAMI

Góry lodowe przyjmują nieraz fantastyczne kształty, zwłaszcza gdy odwracają się do góry dnem, jak te na zdjęciu.



PARCIE NA SZKŁO

Młode pingwiny królewskie przyszły sprawdzić, kto je odwiedził. Czasem w Antarktyce ciężko jest zrobić ostre zdjęcie, bo zwierzęta podchodzą za blisko obiektywu.

FOT. MIECISŁAW GOŁACIOWSKI



FOT. WOLFF / GETTY IMAGES

SĄSIEDZKA AFERA

Albatrosy czarnobrewe i skoczce złotoczone żyją na Falklandach na ogół zgodnie. Harmonię ich sąsiedztwa zakłócają tylko takie niefortunne incydenty jak ten, gdy albatros niechcący nadepnął na pingwina.

WYCIECZKI DO RAJU

Większość ludzi dociera do Antarktyki jako turyści na pokładzie jednego z kilkunastu statków, corocznie odwiedzających te strony. Odpływają one przeważnie z Ushuaia w argentyńskiej Patagonii. Właśnie to miasto, położone na Ziemi Ognistej, cieszy się sławą najdalej wysuniętego na południe. W rzeczywistości „poniżej” znajduje się jeszcze co najmniej jedno – Puerto Williams w Chile. Ale to Ushuaia jest prawdziwą bramą do Antarktyki.

Wyruszają stamtąd dwa rodzaje wycieczek. Krótsze płyną w rejon Półwyspu Antarktycznego, gdzie spędzają sześć dni na zwiedzaniu tamtejszych atrakcji, po czym wracają do portu. Dłuższe płyną najpierw na Wyspy Falklandzkie, zajmujące powierzchnię zbliżoną do jednej czwartej Polski i zamieszkałe przez... dwa tysiące osób. Pozostali „mieszkańcy” to owce,

pingwiny i piękne albatrosy czarnobrewe. Falklandy stanowią jednak tylko preludium do odwiedzin prawdziwego klejnotu tego rejonu – Georgii Południowej.

Oddalona o tysiąc kilometrów wyspa robi niesamowite wrażenie. Górskie szczyty wyrastają bezpośrednio z morza na wysokość prawie 3 tysięcy metrów. Tutaj mieściły się kiedyś największe stacje wielorybnicze, wraz ze słynnym Grytviken, obecnie zamienionym w muzeum. Stąd ruszały liczne wyprawy bohaterów odkrywców. Tutaj dotarł po swojej odysei sam Ernest Shackleton, którego grób znajduje się na miejscowym cmentarzu.





Majestatyczne krajobrazy i fascynująca historia wyspy stanowią wspaniałe tło dla oszałamiająco bogatej przyrody. Na Georgii Południowej mieszka więcej ptaków morskich niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie. Kilka kolonii pingwinów królewskich liczy po milionie osobników, a populację uchatk antarktycznych ocenia się na dwa miliony.

Z SZACUNKIEM DO PINGWINA

Jako goście musimy ustępować gospodarzom. Zwierzęta żyjące na Antarktydzie mają pierwszeństwo pod każdym względem. Jest ich tu

zresztą bez liku. Najbardziej charakterystyczne są oczywiście pingwiny. W pobliżu stacji Arc-towskiego znajdują się kolonie lęgowe trzech gatunków: pingwinów Adeli, białobrewych oraz antarktycznych, zwanych – z racji charakterystycznego paska pod brodą – policjantami. Nieporadność pingwinów, których są tu miliony, jest tylko pozorna, w rzeczywistości są to organizmy świetnie przystosowane do przetrwania w skrajnie trudnych warunkach.

Bogate zasoby ryb i kryla utrzymują rzesze ptaków morskich – od kormoranów, przez liczne gatunki nawałników, petreli i albatrosów, po rybitwy, mewy i wydrzyki. O specyfice

MORSKIE SŁONIĄTKO

Słoń morski południowy to największa foka świata. Dorosłe samce mogą dorastać nawet do pięciu ton, ale ten młodzieniec waży najwyżej dwie.



WZAJEMNA FASCYNACJA

Ten młody słońik najwyraźniej nie słyszał o obowiązującej na Georgii Południowej zasadzie, by nie zbliżać się do zwierząt na mniej niż pięć metrów.

tutejszego ekosystemu, w którym życie, choć niezwykle bujne, związane jest prawie wyłącznie ze środowiskiem morskim, świadczy fakt, że tylko jeden ptak – pochodziób biały – ma łapy pozbawione błon pławnych.

Także ssaki antarktyczne to wyłącznie zwierzęta morskie. Najliczniejsze są foki. One również nie wykazują żadnego lęku wobec ludzi. Słonie morskie, foki Weddella, krabojady (których najciekawszą cechą jest to, że nie je-

dzą żadnych krabów, bo praktycznie nie ma ich w Antarktyce) i lamparty morskie wylegają się na plażach wokół stacji, nic nie robiąc sobie z ludzkiej krzątaniny. Jeśli przyjdzie im ochota położyć się na naszym ganku lub ścieżce do domu, musimy pamiętać, że to one są u siebie, więc mogą robić, co chcą i należy je grzecznie omijać.

Najsilniej działają na wyobraźnię wieloryby. Bliski kontakt z władcami oceanów wy-



FOT. MIKOŁAJ GOŁĄCZOWSKI

FOT. MIKOŁAJ GOŁĄCZOWSKI

wołuje doznania niemal mistyczne. Po latach prześladowań stopniowo odbudowują liczebność swoich populacji i z roku na rok spotykamy ich coraz więcej.

Wciąż pamiętam mój pierwszy raz... Pobieraliśmy próbki w głębi zatoki, kiedy nagle do naszego kutra badawczego podpłynęły dwa ogromne humbaki. Przez pół godziny krążyły obok nas i pod nami, próbując wciągnąć kuter do zabawy w berka. Każdy ich ruch mógł



CIEKAWSCY I CIEKAWSKIE

Młode pingwiny białobrewne są niezwykle ciekawskie. Trudno jest ocenić, kto tu kogo obserwuje.



FOT. MIKOŁAJ GOŁĄCZOWSKI

skończyć się dla nas fatalnie. Ale morskie kolosy nie chciały nam zrobić krzywdy, po prostu były ciekawskie i wesołe. I ani razu nas nie musnęły. W końcu odpłynęły, zapewne znudzone naszą nieruchawością. Przez następne lata wokół mojej małej łodzi wiele razy pływały nie tylko humbaki, ale nawet stada orek, jednak właśnie to pierwsze spotkanie zapamiętałem najmocniej.

Antarktyka uczy szacunku dla przyrody. Tutaj to ona jest królową – hojną i piękną, lecz surową. Przejawy ludzkiej arogancji i zadufania karze często śmiercią – w lodowej szczelinie lub mroźnym morzu. Ci, którzy dostosują się do obowiązujących reguł, mogą żyć w polarnej krainie w miarę bezpiecznie, ciesząc się niezwykle urokami tego miejsca. ○

SPOTKANIE NA OCEANIE

Jednym z najbardziej emocjonujących antarktycznych przeżyć jest bliskie spotkanie z 20-metrowymi humbakami, przy których łodzie wyglądają jak kruche łupinki.



Co o nich wiemy? Że sięją zgorzenie, legalizując jednoptciowe małżeństwa oraz miękkie narkotyki... Gdy bliżej poznaje się Holendrów, blakną stereotypy, a rośnie podziw dla pracowitego i świetnie zorganizowanego narodu.



WSPÓLNOTA POWSTAŁA Z MORZA

Józef Baran

Wtrakcie jazdy autem do miasta Jana Vermeera, Delft, zwracam uwagę na widok „wielkiego nieba”. To optyczne złudzenie wynika z równinnego krajobrazu i depresji. Znajdujemy się przecież 10, 20, a nawet 30 metrów poniżej poziomu morza. Niebo z taką perspektywą bywa najatrakcyjniejsze w pogodne dni, kiedy toczą się po nim bele cumulusów.

W podróży natrafiamy na stada czarno-białych i biało-brązowych krów, a także na konie i barany. Świn tu podobno więcej niż ludzi, a szklarniowymi warzywami karmi się pół Europy, choć w rolnictwie pracuje tylko dwa procent Holendrów.

KRAJOBRAZ NARODOWEJ TROSKI

W mieście Vermeera pojawiają się domy jakby wyjęte z obrazu „Widok z Delft”, który oglądaliśmy w muzeum w Hadze. Niezmiernie charakterystyczna dla całego kraju jest bowiem dbałość o zachowanie ciągłości architektonicznej. Widoczna jest narodowa niemal troska o zabytkowe, wciąż odnawiane i użytkowane budynki, o każdy szczegół, gzymsik, wywniętą okiennicę, rzeźbę. W powiązaniu z ostrymi przepisami prawa budowlanego, a także z doprowadzoną do perfekcji sztuką ogrodniczą, sprawia to, że wrażliwi na urbanistyczny ład i estetykę mają co podziwiać. Nie ma tu



NATCHNIENIE VERMEERA

Delft, leżące nad rzeką Schie, to jedno z najstarszych miast niderlandzkich. Stąd wywodzi się malarz Jan Vermeer van Delft. Miasto słynie też z produkcji fajansu i porcelany.

reklamowej dżungli zaśmiecającej krajobraz, a jeśli reklamy się pojawiają, to rzadko i są wkomponowane w otoczenie. Nie ma też decybelowego zgiełku, drażniącego w niektórych naszych kawiarniach i restauracjach, bo wiodocześnie nie ma na to w Holandii przyzwolenia.

Poetę przybyłego z połatanej Polski, skleconej z najróżniejszych stylów i często na chybił trafił, musi wzruszać ten liryczny widok parterowych domków, wyglądających bajkowo, pokolorowanych niczym pastelami Nikifora. Wykonane są, albo zakonserwowane, z wyjątkową dbałością i smakiem, choć niektórym stuknęło 200 czy 300 lat, co dumnie obwieszczaają daty na ich fasadach.

W Best, gdzie mamy stałą bazę noclegową, natykamy się na dwumetrowy pomnik kreta. Został on wzniesiony, aby upamiętnić wydrążenie trzykilometrowego tunelu kolejowego. Mieszkańcy miasteczka nie zgodzili się, żeby pociągi, przebiegające tu czterema torami, nękały ich ustawicznym hałasem, więc projek-

tanci musieli znaleźć inne rozwiązanie. Z kolei główna ulica Delft, prowadząca do dworca, znajduje się w przebudowie. Tak jak w Best, i tutaj pociągi przejeżdżające z Hagi i Amsterdamu do Rotterdamu znikną niedługo w tunelu. To ogromne przedsięwzięcie, podobne do budowy metra. Przy okazji widać, jak można przenieść cały budynek – oto stary zabytkowy młyn został podniesiony do góry i czeka na swe ostateczne miejsce po przebudowie.

Przemieszczając się między holenderskimi miastami (Delft, Haga, Eindhoven, Best, Rotterdam, Amsterdam), zauważa się, że wszędzie tu blisko. Holandia jest obszarowo siedmiokrotnie mniejsza od Polski i bardzo gęsto zaludniona. Zrozumiałe, że nie ma dużo miejsc pod lasy, które z powodu ciągle wiejących wiatrów są też mniej okazałe od polskich. Choć nie ma dużych i dzikich, jak u nas, kompleksów leśnych, to urbaniści zadbali, by maksymalnie wykorzystać zieleń. Wcisła się ona w każdy zaułek, w wolne miejsca między do-

mami, ulicami, trasami rowerowymi – w postaci skwerków, parków, zieleńców, klombów.

W ślicznie zachowanej, jak przed stu laty, wsi Nuenen – gdzie pastorem był ojciec Vincenta van Gogha, a on sam parę lat tu przebywał i malował, co zostało upamiętnione pomnikiem na ryneczku – w oczy rzuca się widok ścieżki do połowy, starej, liczącej ponoć 450 lat lipy. Przed kilkunastu laty zachorowała, więc zjechali się „doktorowie” od drzew, żeby temu zaradzić. W końcu zdecydowano się na amputację korony, konarów i części pnia, ale uczy-

niono to po wielu naradach i deliberacjach. Pozostała przy życiu część drzewa podlega ciągłej opiece.

KAPITALIZM Z LUDZKĄ TWARZĄ

W tym „bezbożnym” kraju, gdzie liczą się czyny, a nie umoralniające kazania, doskonale funkcjonuje system pomocy osobom starszym i niepełnosprawnym. Do domu matki mojego zięcia Hansa przychodzi parę razy w tygodniu

HOLENDRSKIE RÓWNANIE

Holandia słynie z wiatraków (jest ich ponad tysiąc), rowerów (jest ich dwa razy więcej niż samochodów) i tulipanów (których rocznie sprzedaje się 6 milionów).





DZIŚ PRAWDZIWYCH WIATRAKÓW JUŻ NIE MA

...a raczej jest ich niewiele. Pierwsze wiatraki stanęły w Holandii ponad 800 lat temu i służyły jako młyny zbożowe, tartaki i urządzenia odwadniające.

sąsiad, żeby wyprowadzić jej psa. Sąsiad dwa lata temu stracił pracę, ale wpadł na pomysł, że może odwiedzać w domach starszych i chorych ludzi, pomagać im w zakupach i zajęciach domowych. Zgłosił swój projekt do gminy i uzyskał dla niego akceptację. Uznano, że będzie to jego praca etatowa, wliczająca się do emerytury, do której pozostało mu kilka lat.

Zwiedzaliśmy w Eindhoven wielohektarowy ośrodek dla niepełnosprawnych, wyposażony w domki dla dwustu pacjentów, boiska, siłownię, pływalnię, małe zoo ze zwierzętami, nad którymi opiekę sprawują pensjonariusze, którzy troszczą się także o ogródki warzywne. Ośrodek ma charakter otwarty, każdy może tu wejść, pospacerować, porozmawiać z siedzącymi w oknach lub na ławeczkach.

Stosunek do niepełnosprawnych najlepiej świadczy o społecznej wrażliwości danego narodu, o jego kulturze i tolerancji. Jeden z trzech braci mojego holenderskiego zięcia, który cierpi na lekkie upośledzenie, ma przy-

dzielone przez państwo własne mieszkanie, zapewnioną pracę w myjni, gdzie zarabia na tyle godziwie, że jest w stanie utrzymać się z pensji i jeszcze coś odłożyć. Właściciele firm przyjmujących niepełnosprawnych do pracy mogą liczyć na dopłaty od państwa.

Dodajmy przy okazji, że w Holandii pracownik, który utracił etat, otrzymuje od swojej firmy jeszcze przez 2 lata osiemdziesiąt procent pensji!

MORZE ZBLIŻA

Zeelandia to region nadmorski, wielokrotnie zalewany, zamieszkaany przez najtwardszych Holendrów, dla których nie ma rzeczy niemożliwych. Nigdy nie poddali się depresji, morzu, wiatrowi. Walka z wodą trwa tu od 500 lat. W 1953 morze zalało całą tę prowincję, zginęło 3,5 tysiąca ludzi i wydawało się, że życie nie powróci już na ten teren. Ta katastrofa zmobilizowała ich do najwyższego wysiłku. Przez



FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. WIKIPEDIA / BRYAN TONG MINH

kilkanaście lat trwały kosztowne i pracochłonne roboty melioracyjne, które spowodowały, że Holendrzy znowu wydarli morzu ogromne połączenie łąd. Osuszyli, czyniąc użytecznymi, poldery, na których doskonale (nawet bez nawozów) udają się wszelkie uprawy.

Pomysłowość Holendrów i ogrom wysiłków włożonych w sypanie wałów, fos, fortyfikacji, w budowę śluz, falochronów, kanałów i innych wymyślnych konstrukcji podwodnych – są niewyobrażalne. Tutaj znajduje się na przykład ponad 10 tysięcy najrozmaitszego typu wiatraków przepompowujących wodę...

Morze nauczyło ten naród myślenia w kategoriach wspólnotowych i równościowych – bo każdy każdemu był tu potrzebny, a wszyscy wszystkim. Nie bez kozery mówi się, że Pan Bóg stworzył świat, a Holendrzy Holandię. Pewnie stąd bierze się u nich brak zgody na szkoły i szpitale prywatne... właśnie z owego solidarnościowego nawyku. W tym kraju, gdzie przyswojono zasady prawdziwego

demokratyzmu, nie ma śladu tytułomanii, hierarchizacji, społecznych podziałów, tak bujnie przez wieki rozkwitających w Anglii, Niemczech czy Hiszpanii. Wszyscy mają mieć równe szanse, bo wszyscy w walce z morzem są tak samo potrzebni.

Przejeżdżamy obok sztucznie utworzonej wyspy Neetlje Jens. Tutaj był tzw. mocny punkt, czyli mielizna, od której sypano wały, tworzone poldery, a następnie bramę wkopaną nawet do 50 metrów w głąb morza i rozpoławiającą je. W „okielznanej” części znajdują się stanowiska na małże i kraby, które potrzebują do życia słonej, morskiej wody. Dlatego bramowa konstrukcja – ciągnąca się kilkaset metrów wzdłuż mostu-wału, po którym zbliżamy się do starego, zabytkowego miasta Werre – jest otwarta. Jeśliby jednak fale niebezpiecznie wezbrały, gigantyczna brama zamknie zatokę.

Prace podobne do tych w Neetlje Jens wykonano w Rotterdamie, tylko na o wiele większą skalę. Cały port jest tam otwierany, a w ra-

KRAJ TAM

Oosterscheldekering to największa z holenderskich zapór mających na celu ochronę kraju przed powodzią.



ROWEROWE KRÓLESTWO

Rowerzyści w tym małym kraju mają do dyspozycji ponad 15 tysięcy km ścieżek rowerowych. Niektóre są nawet podgrzewane.

zie niebezpieczeństwa zamykany. Holenderska myśl techniczna związana z systemami inżynierjno-wodnymi osiągnęła szczyty, dlatego sprzedawana jest całemu światu. Mogłem się o tym przekonać, będąc kiedyś w Singapurze, gdzie w okresach deszczowych ulice mogłyby ulec zalaniu. Singapurczycy ściągnęli więc Holendrów, a ci im pomogli.

Poruszając się w głąb Zeelandii, składającej się z wielu wysepek połączonych wałami usypanymi z ziemi, betonu i kamieni, trudno sobie wyobrazić, że jedziemy po dawnym morskim dnie. Łącznie jedna trzecia terenów rolniczych Holandii była kiedyś morzem.

Zanim stanęliśmy w Weere, zwiedziliśmy stary gród Willemstadt, osadzony na terenach delty, gdzie wpływają do morza trzy potężne rzeki, między innymi Ren. Miasto, otoczone fortyfikacjami obronnymi i labiryntem wałów, chroniącym nie tylko przed morzem, ale i przed rzekami, w 1790 skutecznie przeciwstawiło się Francuzom. Z kolei w czasie I wojny światowej wypełnione wodą fosy nie wpuściły tu Niemców.

NA ROWERZE WSZYSCY RÓWNI

Symbolem równości i demokratycznego myślenia jest także rower. Na rowerze dojeżdża do pracy premier rządu i jego ministrowie,

na rowerze matka wiozą dwójkę czy trójkę dzieciaków w różnym wieku, na rowerze robi się zakupy. Do roweru – z przodu, z tyłu, z boku – można doczepić różnego rodzaju przyczepki, bagażniki, nakładki, tak aby pojazd mógł służyć nawet do transportu całkiem sporych mebli. W każdym szanującym się zakładzie pracy znajduje się łazienka z prysznicem, aby pracownicy mogli odświeżyć się po przyjechaniu do firmy na rowerze.

Przy każdym dworcu każdego miasta w oczy rzucają się zatoczki dla tysięcy rowerów. W Holandii funkcjonują bardzo ostre przepisy parkingowe, więc pracownikom bardziej opłaca się przesiąść z pociągu czy autobusu na rower, niż dobijać się do centrum autem.

W tym kraju rowerów jest więcej niż mieszkańców – w samym Amsterdamie około 600 tysięcy. Sieć ścieżek rowerowych ma długość ponad 15 tysięcy kilometrów i można nimi swobodnie objechać cały kraj. Sezon rowerowy trwa tutaj cały rok, a niektóre „rowerostrady” są specjalnie podgrzewane w sezonie zimowym.

Rower nikomu nie uwłacza, nawet wielkiemu szefowi. Na rowerze każdy tak samo moknie i tak samo ostro musi pedałowac wbrew wiejącemu zawsze wiatrowi. Idea egalitaryzmu w kraju wiatraków i tulipanów także dzięki rowerowi osiągnęła swoje szczyty. ○

Fragment książki Józefa Barana „Spadając patrzeć w gwiazdy”, która ukaże się niebawem w Wydawnictwie Zysk i S-Ka.

GWARANCJA NAUCZENIA JAZDY NA NARTACH I SNOWBOARDZIE



FOT. KÄRNTEN WERBLING/EDWARD GRÖGER

Zimą 2012/13 przyszli narciarze nauczą się jeździć na nartach lub na snowboardzie w ciągu trzech dni – we wszystkich ośrodkach narciarskich Karyntii, za jednakową cenę i z gwarancją zwrotu pieniędzy w przypadku niepowodzenia.

Opanowanie jazdy na nartach w ciągu trzech dni (z gwarancją nauczania) to cel dla początkujących narciarzy. Karyntkie szkoły narciarskie oferują trzydniowe kursy jazdy na nartach i na snowboardzie (wraz ze sprzętem narciarskim) dla dorosłych i dla dzieci od szóstego roku życia. Kursy obejmują łącznie siedem



FOT. KÄRNTEN WERBLING/EDWARD GRÖGER

i pół godziny treningu. Oferta jest dostępna od 6 stycznia 2013 do końca sezonu, za 129 euro od osoby. Goście otrzymują voucher na kurs narciarski w miejscu zakwaterowania i mogą zrealizować go w dowolnej szkółce biorącej udział w promocji. Voucher można zarezerwować w ramach zimowej oferty pakie-

towej we wszystkich regionach Karyntii. Jest on także dostępny w wielu ofertach urlopowych w miejscach zakwaterowania. Po pomyślnym ukończeniu kursu każdy uczestnik otrzyma dyplom oraz prezent. W razie braku oczekiwanego sukcesu goście otrzymają zwrot pieniędzy za kurs.

Dzięki swemu położeniu po południowej stronie Alp karyntkie stoki narciarskie stanowią wyjątkową atrakcję dla całych rodzin, bez względu na to, czy ich członkowie są początkującymi narciarzami, czy zawodowcami. Na początkujących narciarzy, którzy dopiero rozpoczynają swoją zimową przygodę, czeka tu



FOT. KÄRNTEN WERBLING/EDWARD GRÖGER

wiele gładko opadających stoków. Dzięki wskazówkom wykwalifikowanych nauczycieli narciarstwa i wyposażeniu w strój narciarski i kask, nabędą oni wszystkie umiejętności niezbędne do bezpiecznego stylu jazdy. Celem kursu jest, aby każdy uczestnik mógł poruszać się samodzielnie po niebieskich trasach. W razie niepowodzenia uczestnik otrzymuje gwarantowany zwrot pieniędzy.

Więcej informacji znajdziesz na:

WWW.KARYNTIA.PL

GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE

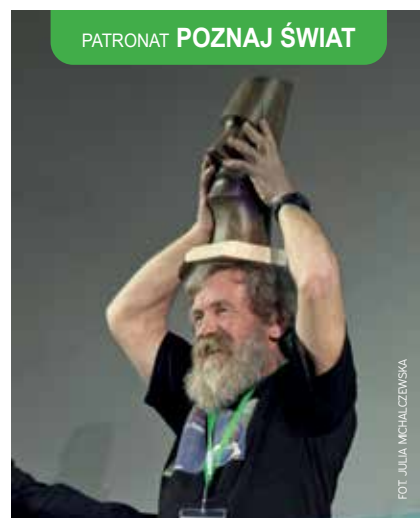


KOLOSY

Od 8 do 10 marca 2013 roku już po raz piętnasty odbędą się w Gdyni Ogólnopolskie Spotkania Podróżników, Żeglarzy i Alpinistów. Jubileusz zapowiada się imponująco: prawie 100 prelegentów, wielka sala mieszcząca ponad 4 tysiące osób, seminaria, a także salony mediów podróżniczych oraz odzieży i sprzętu turystyczno-sportowego.

Z okazji rocznicy piętnastolecia OSPŻiA w Gdyni nie zabraknie wydarzeń specjalnych, jednak główną atrakcją będzie jak zwykle znakomity program podsumowujący wszystko, co najważniejsze w polskich podróżach i eksploracji w roku 2012. Najwyższy poziom gwarantowany. Marka Kolosów mówi sama za siebie.

www.kolosy.pl



PATRONAT POZNAJ ŚWIAT

FOT. JULIA MGHALCZEWSKA

PATRONAT POZNAJ ŚWIAT

FESTIWAL NA SZAGE

W dniach 8-10 lutego w poznańskiej Auli AWF odbędzie się Festiwal NA SZAGE, impreza dla wszystkich zainteresowanych podróżowaniem. Głównym trzonem Festiwalu będą prezentacje finałowe uczestników Konkursu im. Kazimierza Nowaka. Jest to konkurs dla podróżników, którzy potrafią w szczególnie atrakcyjny sposób podzielić się wrażeniami ze swoich podróży, niekoniecznie tych najbardziej ekstremalnych. Liczy się prezentacja, a nie wyczyn. Zaproszono także gości specjalnych – znanych podróżników, a także takich, którzy nie są znani szerszej publiczności,

a dokonali lub przeżyli rzeczy wyjątkowe.

Dla miłośników fotografii, chcących podnieść swoje umiejętności, organizatorzy przygotowują warsztaty fotografii podróżniczej, które poprowadzi Światosław Wojtkowiak.

Nie zabraknie także ciekawych informacji o słynnym polskim podróżniku – Kazimierzu Nowaku, którego książka „Rowerem i pieszo przez Czarny Łąd” zrobiła w ostatnich kilku latach wiele pozytywnego zamieszania.

www.festiwalnaszage.pl





NIEZWYKŁE NOCLEGI



Wzrost liczby portali, które oferują wynajem prywatnych pokoi i mieszkań (jak np. Wimdu), to reakcja na odchodzenie turystów od tradycyjnych sposobów zakwaterowania. Na znany od lat couchsurfing (nocowanie u obcej osoby) decydują się jedynie osoby bardzo młode. Z kolei portale noclegowe zdobyły zaufanie biznesmenów, rodzin z dziećmi, a nawet osób starszych. Korzystając z nich, możemy zaoszczędzić na planowanej podróży, a równolegle wynająć swoje lokum podczas naszej nieobecności. Czasem będą to dość niezwykłe miejsca do spania. Oto kilka propozycji na kreatywny nocleg.

Pewien londyński taksówkarz postanowił zamienić swoje auto w... sypialnię, w której może przenoćować gości. Taksówkę wyposażył w dmuchany materac, pościel, lampkę nocną, radio, iPada oraz lodówkę. Pan Weekes zadbał o wszystkie detale tej wyjątkowej noclegowni, a pluszowy miś w jego samochodzie do tej pory robi wielką karierę.

Ciekawą propozycją jest z pewnością nocleg w kapsule – bardzo popularnej w Kraju Kwitnącej Wiśni. Nazwa „kapsuła” nie jest przypadkowa. Sypialnia ma zaledwie 1 m szerokości i wysokości oraz 2 m długości. Całą powierzchnię zajmuje materac, tele-

wizor oraz kilka minipółeczek. Niezwykłym miejscem noclegowym, które pokochają wszystkie dzieci oraz... miłośnicy psów, jest motel w kształcie psa rasy Beagle. Motel znajduje się w Stanach Zjednoczonych, w stanie Idaho. Obiekt został stworzony przez parę rzeźbiarzy, którzy zajmują się rzeźbą psich figurek.

Na wyjątkowe noclegi mogą skusić się również osoby, które cenią komfort i wygodę. W Drapanias – w przepięknej miejscowości na północno-zachodnim wybrzeżu Krety, tak chętnie odwiedzanej przez polskich turystów – znajduje się wiatrak. Jest wyposażony we wszystkie udogodnienia. Spragnieni wrażeń goście mogą wynająć motorówkę i wyruszyć w tajemnicze i bezludne miejsca tej pięknej greckiej wyspy.

Wynajem samochodów kempingowych w promocyjnych cenach



Polskie
Centrum
Caravaningu

**ZAREZERWUJ SWOJE
WAKACJE
JUŻ TERAZ!**



Polskie Centrum Caravaningu Sp. z o.o.
e-mail: info@pcc-caravaning.pl
tel. +48 693 331 106



Podróżuj naszymi kamperami!

www.pcc-caravaning.pl

ARCHITEKCI PODRÓŻY

Ciekawą usługę dla osób lubiących samodzielne wyjazdy proponują Martyna Nowicka i Mateusz Paprocki. Ta dwójka miłośników podróżowania dobrała się pod względem temperamentu i umiejętności. Ona od dziecka aktywnie spędza czas i jeździ w dalsze i bliższe okolice, poznając świat i ludzi, on był statecznym informatykiem, który uznał, że realizowanie własnej pasji jest dla niego lepszym sposobem na spędzenie życia niż dobrze płatna praca w korporacji. Oboje założyli firmę Architekci Podróży, która przekształciła ich pasję w pracę, dając im spełnienie poprzez pomaganie w realizacji marzeń o idealnych wakacjach osobom chcącym podróżować, ale niemającym czasu lub ochoty na samodzielne przygotowanie wyjazdu.

Mateusz i Martyna uważają, że podróżowanie samemu, bez biur



podróży, poznawanie lokalnej kultury i mieszkańców oraz jedzenie w małych knajpkach „na rogu” dają satysfakcję i poczucie dobrze spędzonego czasu, a jednocześnie rozwijają i poszerza horyzonty. Ich oferta jest alternatywą dla gotowych ofert biur turystycznych. Architekci Podróży zaplanują i przygotowują indywidualny wyjazd zgodnie ze wskazówkami

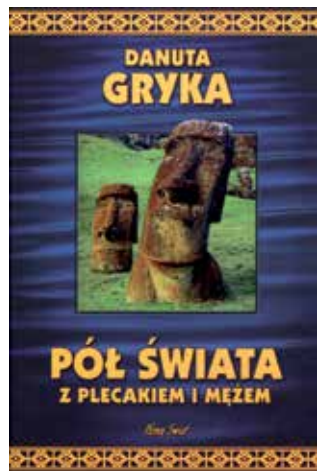
klienta: pomogą w wyborze miejsca docelowego, przygotują szczegółowy plan podróży, wyszukają połączenia lotnicze, hotele i transport na miejscu zgodnie z budżetem i upodobaniami osoby wyjeżdżającej na wakacje, ułatwiają w ten sposób podróż i oszczędzając czas przeznaczony na organizację wyjazdu.

www.architekcipodrozy.pl

PATRONAT POZNAJ ŚWIAT

PÓŁ ŚWIATA z plecakiem i mężem

Danuta i Tomasz Gryka w 2005 roku wyruszyli na podbój świata, ale ostatecznie „ugrzeźli” na kilka miesięcy w Azji. Wrócili, napisali o tamtej podróży książkę, ale wciąż marzyli o objechaniu całego globu. Po trzech latach spakowali plecaki i wyruszyli znowu. Z Polski do Turcji, dalej do Nepalu, do Wietnamu, Australii, Nowej Zelandii... Jak sami piszą, „to było dziesięć miesięcy ciągłej i fantastycznej przygody, dziesięć miesięcy szkoły pokory i dziesięć miesięcy spełniania marzeń dzień po dniu”. Pierwszą część podróży opisali w książce „Pół świata z plecakiem i mężem” Wydawnictwa Bernardinum.



www.bernardinum.com.pl

PATRONAT POZNAJ ŚWIAT

SZCZYTY AFRYKI

„W drodze na najwyższe szczyty Afryki” to projekt, który ma na celu zdobycie najwyższych szczytów/miejsc w każdym afrykańskim kraju. W projekcie, jak mówi jego pomysłodawca Robert Gondek, nie chodzi tylko o góry i odhaczanie kolejnych krajów na mapie. Celem jest również poznanie kultury i ludzi z różnych zakątków niezwykle różnorodnej Afryki. Wraz z drugim Robertem i Pawłem panowie stworzyli niezłe dobrany zespół, w którym realizują swój cel.

Do tej pory udało im się zdobyć najwyższe szczyty Tanzanii (Kilimandżaro), Kenii (Mount Kenya) i Ugandy (Rwenzori). W styczniu na ich drodze pojawi się najwyższy szczyt Rwandy (Karisimbi), Burundi (Mount Heha), a także druga co do wysokości góra w Tanzanii – Mount Meru. Więcej na:

www.gerber.d7.pl



WETERYNARZE BEZ GRANIC

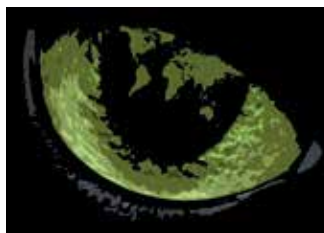
Choć zapewne częściej słyszy się o lekarzach bez granic, po świecie krążą także „nieładzcy lekarze”, niosący pomoc zwierzętom w najodleglejszych i najbardziej potrzebnych krajach. Do tego grona postanowili dołączyć Anna Bunikowska i Tomasz Marchewka, absolwenci SGGW w Warszawie.

Już w lutym zwolnią się z pracy i wyruszą w drogę. Zaczną w Tajlandii, gdzie przez miesiąc będą leczyć psy, koty, małpy i cywety pod palmami na rajskiej wyspie Lanta. Potem mają zamiar podróżować autostopem, chcą zobaczyć Wietnam i Kambodżę, marzy im się Nepal i Mongolia, fascynują ich bezładne przestrzenie Kirgistanu. A gdyby udało się złapać „jachtostop”, otworzą się przed nimi kolejne kontynenty.

W czasie podróży chcą pracować albo pomagać w ramach wolontariatu w lokalnych ośrodkach dla dzikich lub bezdomnych zwierząt.

wetrynarzbezgranic.wordpress.com

www.facebook.com/pages/Wetrynarz-bez-granic



FOT. ANNA BUNIKOWSKA

WŁÓCZYKIJ

GRYFIŃSKI FESTIWAL MIEJSC I PODRÓŻY



FOT. WŁÓCZYKIJ

Zajrzyj DO GRYFINA

21 lutego rozpoczyna się siódma edycja Gryfińskiego Festiwalu Miejsc i Podróż, „Włóczykij”.

W ciągu 11 dni w czterech punktach miasta i kilku okolicznych miejscowościach (także po stronie niemieckiej) przezną się szlaki reportaży, alpinistów, etnografów, miłośników sportów ekstremalnych, nurków, podróżujących filmowców, regionalistów i autostopowiczów, którzy opowiedzą o swoich wyczynach. Program festiwalu wzbogaci kilkanaście filmów z egzotycznych kinematografii świata i 10 koncertów z muzyką alternatywną. Zagrają m.in. Dezert, UL/KR, Hanimal, Drekoty, Przytuła & Kruk.

Włóczykij to również wycieczki po regionie (m.in. Witnica Gorzowska, Gartz i okolice) i zaliczany do Pucharu Polski ekstremalny rajd na orientację „Włóczykij Trip Extreme” (pieszy dystans: 50 i 100 km). W pierwszą sobotę imprezy zorganizowany zostanie huczny bal przebierańców – Bal Włóczykija. Dopelnieniem programu będą degustacje potraw kuchni świata.

www.wloczykij.com

BANKNOTY ŚWIATA

Pieniądże są jednym z ważniejszych wynalazków w dziejach ludzkości. Jednym z kierunków rozwoju pieniądza jest banknot. Zaistniał on w Europie ponad 300 lat temu, m.in. za sprawą szwedzkiej kampanii wojennej zwanej „potopem szwedzkim”. Na świecie pierwowzory banknotu można znaleźć w Chinach i Mongolii już pomiędzy VII a IX w.

Dzisiaj pieniądź, choć wypierany coraz częściej przez obrót bezgotówkowy, jest nadal istotnym elementem wymiany towarowej. Dlatego wybierając się nawet w najbardziej odległe zakątki świata, warto wiedzieć, jak wyglądają aktualne banknoty w danym państwie oraz jak rozróżnić te fałszywe.



MEKSYKAŃSKIE PESOS

Meksykańskie peso to zaledwie czwarta część złotówki, $1 \text{ MXN} = 0,24-0,25 \text{ PLN}$. W obiegu funkcjonują banknoty 20, 50, 100, 200, 500 i 1000 pesos (MXN), monety 5, 2 oraz 1 peso, a także 50 i 10 centavos, na które dzieli się 1 peso. Ciekawostką jest, że symbol waluty peso, czyli „\$”, stosowany był kilkanaście lat przed użyciem go dla oznaczenia dolara amerykańskiego.

Dwa najniższe nominały najnowszej serii banknotów (F) zostały wydrukowane na podłożu polimerowym, pozostałe na tradycyjnym papierze banknotowym.

Wizerunki na meksykańskich banknotach obrazują historię kraju. Banknot 20 pesos przedstawia pierwszego prezydenta Meksyku po uzyskaniu niepodległości – Benito Juárez. 50 pesos ukazuje José María Morelosa, meksykańskiego działacza na rzecz uzyskania niepodległości, rozstrzelanego przez Hiszpanów w 1815 roku.

100 pesos przedstawia legendarnego władcę Texcoco – Nezahualcóyotla. 200 pesos – meksykańską pisarkę, zakonnicę i astronoma w osobie Juany de Asbaje y Ramírez de Santillana. 500 pesos to postacie malarza Diego Rivera i jego żony Fridy Kahlo. 1000 pesos ukazuje księdza, działacza niepodległościowego i powstańca z 1810 roku, Miguela Hidalgo y Costilla, rozstrzelanego przez Hiszpanów w 1811 roku.



Banknoty zabezpieczone są poprzez:
 (1) znaki wodne widoczne w świetle przechodzącym, będące powtórzeniem postaci – motywu ze strony przedniej danego banknotu – i w wyższych wartościach nominały;
 (2) wypukłości druku – druk stalorytniczny;



(3) elementy graficzne (kontur Meksyku) wydrukowane i doskonale spasowane po przeciwnych stronach banknotu, a widoczne w świetle przechodzącym.



Ponadto niektóre elementy graficzne (4) w poszczególnych nominałach zmieniają kolor w zależności od kąta padania światła i kąta obserwacji.

W nominałach ostatniej emisji (F) 100, 200, 500 oraz 1000 pesos zastosowano jedno z nowszych zabezpieczeń. Z przodu banknotu po lewej stronie zauważymy „okienkowo” odsłonięty pasek z efektem 3D.



Grzegorz Ćwiek DCB S.A. – autor tekstu prowadzi szkolenia z rozpoznawania autentyczności pieniędzy i dokumentów

Monika Witkowska

SYN SŁOŃCA NADCHODZI



Czasy wróżenia z wyrwanego, wciąż bijącego serca lam to już przeszłość.

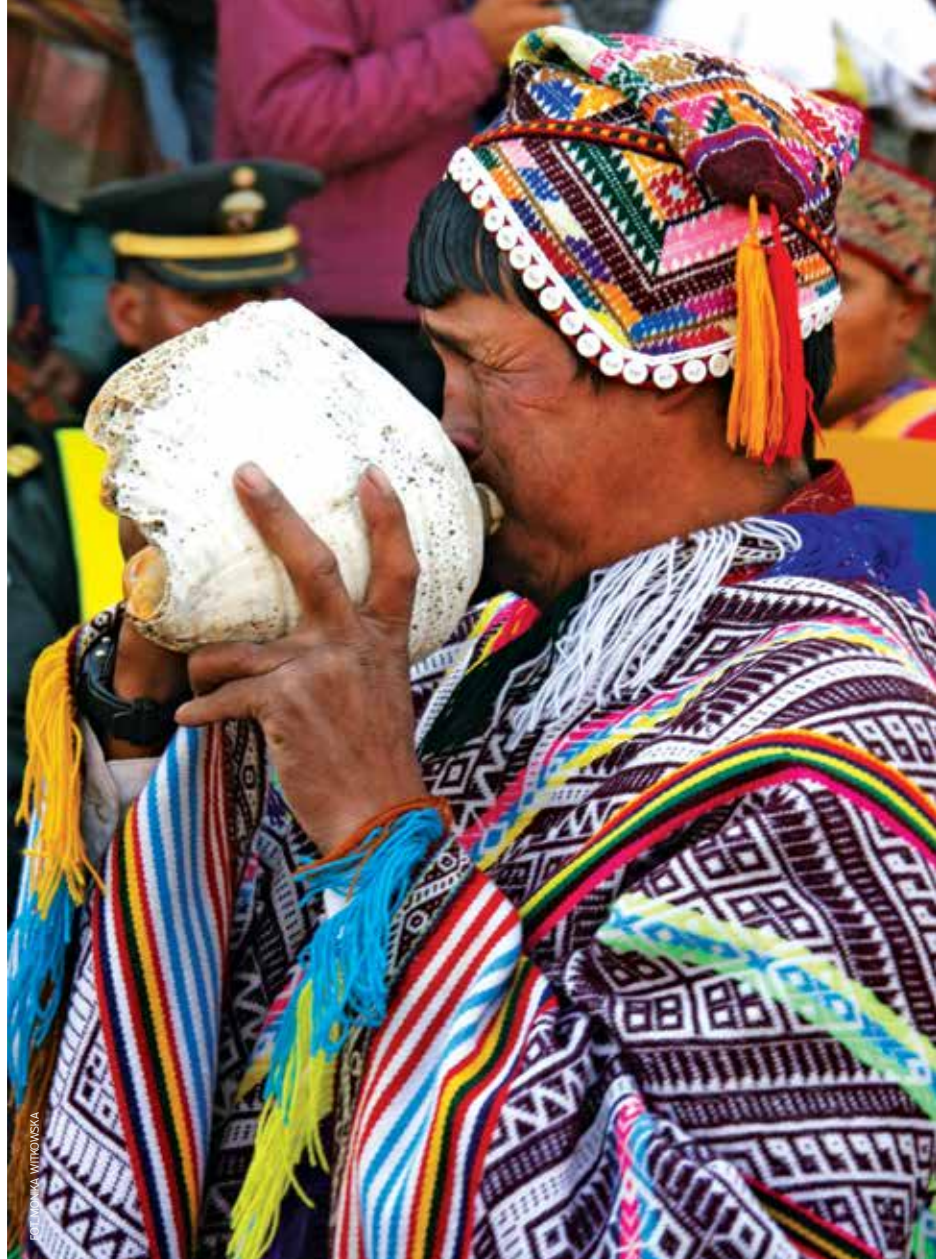
Jednak Inti Raymi, inkaskie

Święto Słońca, nadal jest obchodzone.

To wielka fiesta – zarówno dla turystów, jak i miejscowych Indian.



FOT. MONIKA WITKOŃSKA



FOT. MONIKA WITKOŃSKA

Nie bez powodu Inti Raymi, czyli w języku keczua Święto Słońca, odbywa się w Cuzco. To położone w otoczeniu andyjskich wzgórz miasto przez ponad trzy wieki było inkaską stolicą, a bóg słońca, Inti, pełnił funkcję jej patrona.

Inti był jednym z najważniejszych bóstw inkaskiej mitologii. Przedstawiano go jako złotą, słoneczną tarczę z męską twarzą. To właśnie on, jako Słońce, miał być ojcem kolejnych Inków, czyli władców potężnego imperium, które w latach swojej świetności obejmowało terytorium obecnego Peru, Ekwadoru i po części Boliwii, Kolumbii, Chile oraz Argentyny.

POWRÓT TRADYCJI PO INKWIZYCJI

Święto ku czci słońca obchodzono w państwie Inków w czerwcu, zaraz po zimowym przesileniu. Zimowym, bo trzeba pamiętać, że Peru to półkula południowa i pory roku wypadają tam odwrotnie niż u nas. Jako datę przesilenia uznaje się 21 czerwca, jednak według inkaskich astronomów słońce pozostawało w tym samym położeniu przez kolejne trzy dni i dopiero wtedy się podnosiło. Stąd też główne obchody miały i mają miejsce 24 czerwca. Poza hołdem oddawanym słońcu są też symbolicznym zakończeniem zbiorów dwóch podstawowych lokalnych upraw – ziemniaków i kukurydzy. Ojczyznę obu tych roślin jest właśnie Peru.

FIESTĘ CZAS ZACZĄĆ

Wielkie konchy to tradycyjne inkaskie instrumenty. Nie jest wcale łatwo w nie zadąć.



DZIEWICE SŁOŃCA

...czyli wybranki władców, z przygotowanymi na ofiarę ziemniakami i kolbami kukurydzy – podstawą wyżywienia w czasach inkaskiego imperium.

Dawniej na Inti Raymi ściągali pielgrzymi z całego Tawantinsuyo, jak nazywało się Imperium Inków. Dzisiaj większość stanowią turyści z całego świata, a liczba widzów przekracza 100 tysięcy. Nikomu nie przeszkadza, że Inkowie już nie rządzą, a uroczystości to rodzaj spontanicznego teatru. Ważny jest powrót do tradycji. Po podbiciu Państwa Inków przez Hiszpanów „pogańskie obrzędy” zostały oficjalnie zakazane jako niezgodne z nowo wprowadzaną religią katolicką. Za ostatnie „prawdziwe” Inti Raymi uważa się uroczystości z 1535 roku. Idea kontynuowania zwyczaju odżyła dopiero w XX wieku – w 1944 roku, dzięki inicjatywie działającego w Cuzco Amerykańskiego Instytutu Sztuki, przygotowano

inscenizację, której scenariusz oparty był na dawnych kronikach.

KRÓL Z KONKURSU

Początek uroczystości ma miejsce przy Świątyni Słońca, w zabytkowej części miasta zwanej Coricancha, co w języku keczua oznacza Złoty Dziedziniec. Za czasów Inków było to jedno z najważniejszych sanktuariów, chowano w nim zmumifikowanych władców. Wszędzie dookoła powiewają tęczowe flagi. – *To przecież symbol homoseksualistów!* – dziwią się stojący obok Amerykanie. Uświadamiam im, że to tzw. andyjska *wiphala* reprezentująca Imperium Inków.



FOT. MONIKA WITKOWSKA



FOT. MONIKA WITKOWSKA

Jest pogodne przedpołudnie. Humory nam dopisują, bo mamy dobrą miejscówkę. Jesteśmy też wyspani, co w autentycznym Inti Raymi byłoby niemożliwe, bo uroczystości zaczynały się o wschodzie słońca. Wcześniej, przez trzy dni trzeba było się do nich przygotowywać, przechodząc proces oczyszczenia. Wszyscy uczestnicy, włącznie z Inką, musieli pościć, ograniczając dietę do białej kukurydzy i niektórych ziół. Zakazany był seks, nie można było palić ognia – wygaszano go zarówno w domach, jak i świątyniach, a zapalano po tym, jak o świcie 24 czerwca zrobił to naczelnny kapłan w Świątyni Słońca.

Tymczasem trawiasty plac przed świątynią wypełniają liczne postacie w barwnych,

niekiedy historycznych strojach. W spektaklu bierze udział ponad pół tysiąca osób, w większości mieszkańców Cuzco i okolic – są to prawie sami Indianie. Na odtwórcę roli Inki organizowany jest specjalny konkurs. Do wymagań należy m.in. znajomość języka keczua, a w hiszpańskojęzycznym Peru posługuje się nim tylko 16,5 procent obywateli. – *Tęgoroczny Inka to nauczyciel z miejscowej szkoły...* – szepce mi do ucha znajomy Peruwiańczyk.

Krzyki na wiwat to znak, że pojawił się Inka. Schodzi po świątynnych schodach, uniesioną ręką pozdrawia zebranych, po czym w języku keczua zwraca się do Inti, czyli Słońca, dziękując za wszystko, co ludzie mu zawdzięczają. Na koniec podnosi w górę złoty

WIRTUOZI PISZCZAŁEK
Idąca w parady orkiestra wprowadza nastrój radości i zabawy.



FOT. MONIKA WITKOŃSKA



FOT. MONIKA WITKOŃSKA

STARSZY SZEREGOWY

Za czasów imperium służba w armii była obowiązkowa i nikt jej nie unikał. Do podstawowego uzbrojenia należały kije z kamiennymi głowicami.

puchar i wypija jego zawartość, którą według tradycji powinien stanowić zrobiony z kukurydzy alkoholowy napój *chicha de jora*.

KOGUT, CZYLI KONDOR

Z Corichancy uczestnicy uroczystości przechodzą na główny plac miasta, przy którym na ruinach zburzonej inkaskiej świątyni hiszpańscy konkwistadorzy zbudowali katedrę.

Teraz możemy z bliska przyjrzeć się wszystkim postaciom. Paradują inkascy kapłani i dostojnicy w ociekających złotem szatach, w tanecznym pląsie wirują dziewczyny odganiające złe duchy. Potem są *chasqui*, inkascy gońcy z depezsami zapisanymi słynnym pismem wę-

zółkowym, zwanym *kipu*. Za nimi kroczą, ubrani w tradycyjne indiańskie poncza, chłopcy dmący w wielkie muszle, a po nich w rytmicznych podskokach nadbiegają wojownicy z tarczami i dzidami. Jednemu z nich dzwoni telefon komórkowy, ale zgromiony wzrokiem przez pilnującego porządku policjanta szybko wyłącza aparat.

Nagle rozlega się walenie w bębny i pojawiają się niesione w lektkach szczerzące zęby mumie. Zgodnie z tradycją każdy z inkaskich władców był mumifikowany i również po śmierci uczestniczył w ważnych wydarzeniach, w takiej właśnie koszarnej postaci. Po nich niesione są rzeźby świętych zwierząt Inków: węży, pumy i kondora. – *Ooo! Kogut!* – znowu dziwią się Amerykanie na widok ptaszydła.



Potem kolej na dziewczyny z miseczkami ziemniaków i kukurydzy, za nimi zaś wylania się lektyka z królową, żoną Inki, pobrzękującą biżuterią. Zanim pojawi się sam Inka, przechodzi szpaler ceremonialnych zamiataaczy, miotełkami z trawy usuwając z drogi wszelki pył. Za nimi idą dziewczęta sypiące kwiatki. Wreszcie jest i on – Syn Słońca, niesiony przez straż przyboczną. Inka nie siedzi, lecz stoi w lektyce, władcym gestem pozdrawiając spontanicznie machający tłum. Na końcu są „podwładni”, Indianie z różnych części inkaskiego państwa: jedni ubrani w ciepłe andyjskie stroje i wełniane czapki, inni, reprezentujący Amazonię – topless, tylko w przepaskach i z wielkimi pióropuszymi.

MAKABRA NA NIBY

Finał Inti Raymi odbywa się 5 kilometrów za miastem, przy tajemniczym kamiennym kompleksie zwanym Sacsayhuamán (turyści mający problem z zapamiętaniem tej nazwy mówią po prostu *sexy woman* i na ogół są rozumiani). Tajemniczość budowli polega na jej nie do końca potwierdzonym charakterze – najczęściej przyjmuje się, że początkowo był to rodzaj świątyni, innym razem – że potężna twierdza.

Na wielkim placu stoją krzesła dla turystów, którzy zapłacili ponad 100 dolarów za bilety wstępu. Peruwiańczycy, dla których takie kwoty są niewyobrażalne, zasiadają na okolicznych wzgórzach. Nastrój wesołego pikniku przery-

PRZED OFIAROWANIEM

Najwyżsi kapłani trzymają dzbany ze świętym napojem z kukurydzy, a także rytualny nóż *tumi* o charakterystycznym półkolistym ostrzu.



OFIARNY OŁTARZ

W słynącej z kamiennych umocnień twierdzy Sacsayhuamán koło Cuzco gotowy już jest ołtarz ofiarny. Wszyscy czekają na orszak z Inką.

wa rytmiczna muzyka. Pojawiają się znane z ulicznej procesji postacie i lektyka z Inką. Centralne miejsce placu zajmuje kamienny ołtarz z tronem, na którym zasiada władca. Czas na najważniejszą część obchodów Inti Raymi. Delegacje prowincji przynoszą dary. Inka wygłasza przemówienie zakończone błogosławieństwem, przy którym wszyscy wstają, wyciągając w górę ręce – zaraz nastąpi składanie ofiar.

W jednej z kronik wspomniano o sprowadzanych z czterech stron imperium dzieciach, których wiek nie przekraczał 10 lat. Najprawdopodobniej po błogosławieństwie władcy wyprowadzano je wysoko w góry i odurzone narkotykami pozostawiano, aby zmarły z zimna, albo rytualnie zabijano. Na placu z ołtarzem Inki najważniejsze było zabicie czarnej lamy.

Najpierw, przy pomocy *tumi* – ceremonialnego noża o półkolistym ostrzu – rozcinano zwierzęciu klatkę piersiową, po czym wrywano serce i płuca, symbolicznie ofiarowując je bogini ziemi, Pachamamie. Wnętrznosci, a także plamy krwi wsiąkającej w ziemię, wykorzystywano do wróżb, zwłaszcza w sprawach wojny i pokoju czy innych ważnych kwestiach ogólnopństwowych. Potem pod nóż szły inne zwierzęta, których serca palono, zaś mięso zostawiano do spożycia w ramach świątecznej uczty.

Oczywiście to już przeszłość. Dziś pod ołtarz jest przyciągana przystrojona lama, odgrywana jest bardzo realistyczna scenka podrywania jej gardła, po czym, kiedy publika nie widzi, zwierzak cały i zdrowy trafia z powrotem do zagrody.



FOT. MONIKA WITKOWSKA



FOT. MONIKA WITKOWSKA

JEST ŚWINKA, JEST IMPREZA

W dawnych czasach po oficjalnych uroczystościach Inka wracał do pałacu, ale święto się nie kończyło. Wielka fiesta trwała 9 dni. Teraz nikt nie ma aż tyle czasu, ale z ucztowania, śpiewu i tańców nie zamierza się rezygnować. To, co się dzieje po „cepelii” dla turystów, też jest warte zobaczenia, chociaż biali gringo chyba trochę boją się zapuszczania w piknikujący na wzgórzach, rozbawiony i, co tu krzyć, podпиты tłum autochtonów.

Ja akurat lubię „lokalne klimaty”. Obserwuję, jak na rusztach pieką się *cuyos*, czyli świnki morskie, traktowane w Peru jako specjał kulinarny. Indianki w tradycyjnych melonikach sprzedają wyroby z alpaki, stary mężczyzna reklamuje uzdrawiające zioła, a przy

tym wszystkim strumieniami leje się piwo, zarówno „kupne”, jak i domowe – z kukurydzy. Musi ona najpierw być przez robiące je kobiety przeżuta – potrzebny jest enzym zawarty w ślinie. Dzieciaki mają frajdę, bo za kilka soli (peruwiańska waluta) mogą przejechać się na koniu albo zagrać w piłkarzyki. Zabawa na całego...

A kiedy zajdzie słońce, towarzystwo przenosi się do miasta, gdzie na placu przy katedrze będzie śpiewać i tańczyć do późnej nocy. W końcu Inti Raymi jest tylko raz w roku, a choć turyści są mile widziani, bo można na nich zarobić, tak naprawdę to jednak święto miejscowych, w których wciąż płynie inkaska krew. ○


INKA NADCHODZI

Syn Słońca pod baldachimem zmierza do kamiennego honorowego tronu.

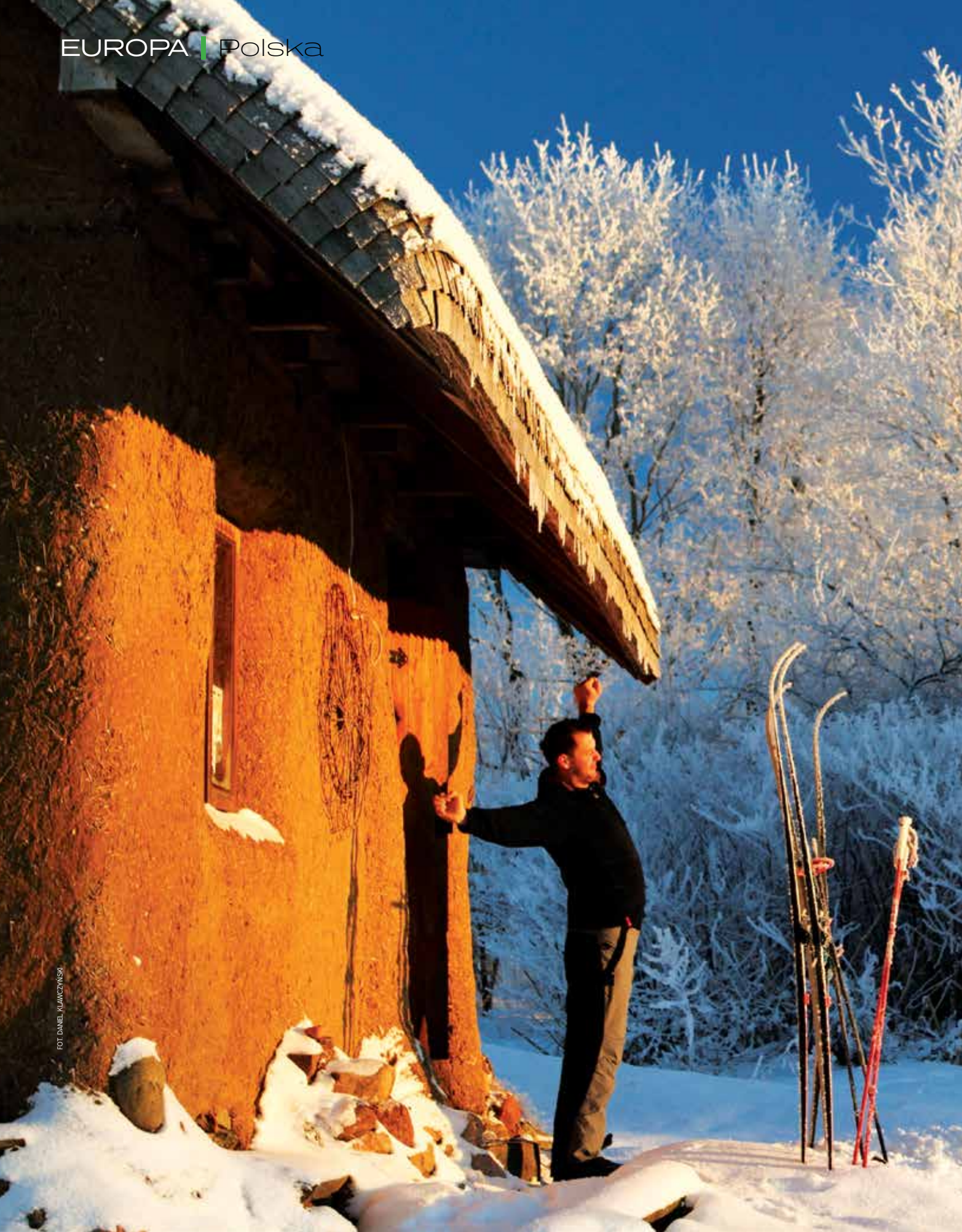
EUROPA | Polska

ZIMA, BIEGÓWKI I MY

Dominika Skonieczna, Daniel Klawczyński

A wide-angle photograph of a winter landscape. The foreground is a vast, flat field covered in a thick layer of snow. In the middle ground, a single, small tree stands prominently, its branches heavily laden with snow. To the left and right, other trees are visible, some also covered in snow. The background shows a line of trees and a clear, bright blue sky. The overall scene is peaceful and serene.

Jest to opowieść o polskiej krainie Królowej Śniegu, o wieczorach na zapiecku, tradycyjnej bani i długich wędrówkach w białym puchu śladami dzikich zwierząt. Posłuchajcie, czego może doświadczyć człowiek, który zdecyduje się przyjąć narty i ruszyć na przełaj.





ŚWIT W PRZEŁOMCE

Ranek w niewielkiej osadzie nieopodal Hańczy wita 20 kreskami poniżej zera. Nielatwo w taką pogodę pożegnać nagrzaną chatę i ruszyć na narty.



Utarło się, że na narty trzeba jechać w góry, żeby był wyciąg, bacia, śliwowica i ski-passy. Jednak, gdy wygospodarowaliśmy w końcu odrobinę wolnego czasu, by wyrwać się z domu, zima jak na złość zwinęła manatki i w całym kraju zapanowała odwilż. Najcieplej było w górach, gdzie śnieg pod wpływem frontu z południa tajał najprędzej. Na mapie Polski istniał tylko jeden wyjątek. Prognozy donosiły, że resztki białego puchu ostały się na Mazurach Garbatych i Suwalszczyźnie. Postanowiliśmy zaryzykować, mając nadzieję, że jeszcze uda nam się poślizgać na deskach. Z piwnicy wyciągnęliśmy zakurzone, dawno nieużywane narty biegowe i już wkrótce mknęliśmy autem na północny wschód. Nie zawiedliśmy się na polskim biegu nie zimna. Wszystko dokładnie przysypane było grubą warstwą śniegu, a do tego panował dwudziestostopniowy mróz.

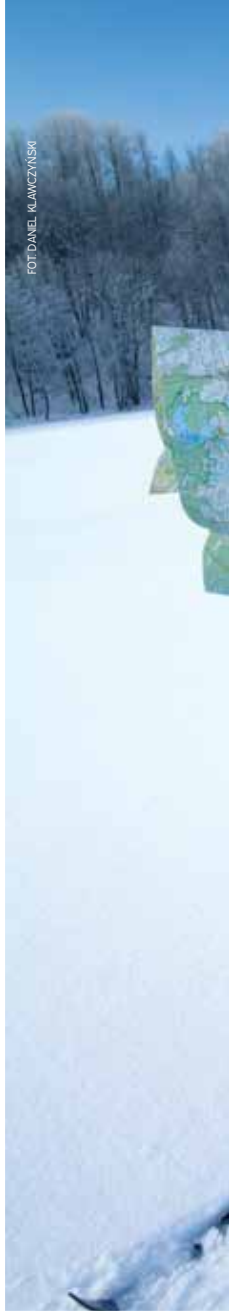
GALERIA Z BANIA

Za pierwszą bazę obraliśmy nietypowe miejsce kryjące się pod zagadkową nazwą „Galeria w Przełomce”. To niewielkie gospodarstwo należy od kilkunastu lat do państwa Mackiewiczów. Przyjechali z daleka i urządzili je po swojemu. Nie jest to klasyczna agroturystyka, a coś znacznie więcej – to przystań dla zmęczonych pędem życia.

Nie zapomnimy typowej dla tych terenów, chociaż coraz rzadziej spotykanej, czarnej bani, zwanej też rosyjską. Po kilkuminutowej „kąpieli” w rozgrzanej i pachnącej wędzonką łaźni parowej wyskakuje się wprost na śnieg lub do przereźbli w pobliskim stawie. Zdrowie i higiena w jednym, a przy tym niezapomniane przeżycie. Ale nie

ŚWIECIE MÓJ!

Z wieży położonej u brzegów jeziora Hańcza widać nawet „Fudżijamę”. Oczywiście tę suwalską, czyli Górę Cisową.



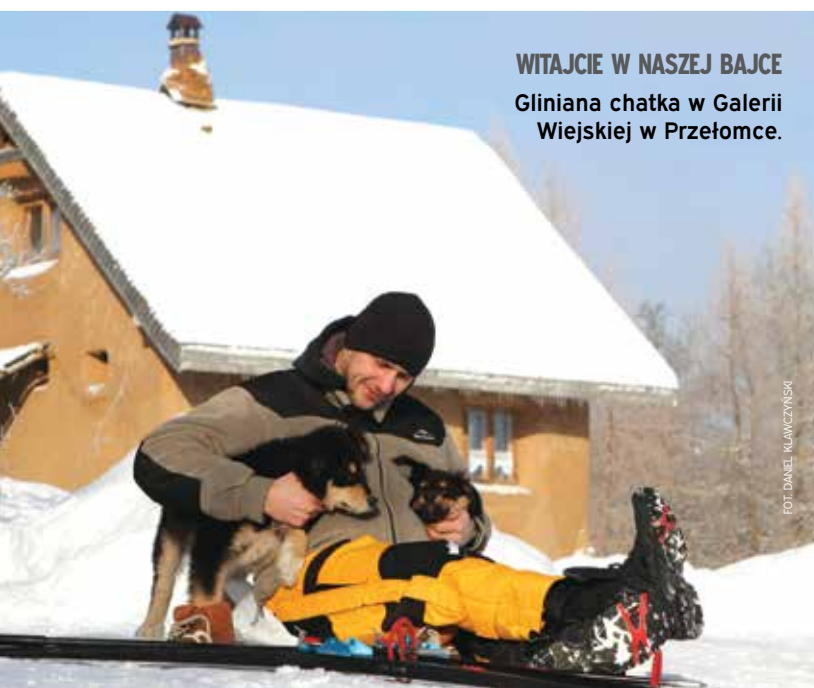
FOT. DANIEL KLAWCZYŃSKI

FOT. DANIEL KLAWCZYŃSKI



CROSSEM PRZEZ COUNTRY

Mapa pod pachą i można wędrować dokądkolwiek przez przysypane śniegiem pola czy zamarznięte jeziora.



WITAJCIE W NASZEJ BAJCE

Gliniana chatka w Galerii Wiejskiej w Przełomce.

FOT. DANIEL KLAWCZYŃSKI

każdy zdobędzie się na coś takiego. Do szczęścia wystarczy już choćby nocleg w glinianej chatce. Miło jest posiedzieć wieczorem przy piecu, wystarczy zdjąć fajerki, by ciepły blask żywego ognia wypełnił całą kuchnię. Najlepiej położyć się wówczas jak kot na zapiecku, czyli na ławie obok komina, która powoli nagrzewa się od pieca. Ciepło z kuchni wędruje na stryszek, gdzie pod tradycyjną strzechą pokrytą pierzyną śniegu znajduje się przytulna sypialnia. W takich okolicznościach, po długiej i męczącej podróży albo dniu spędzonym na nartach, zasypia się wybornie.

Chociaż po niezwykle mroźnej nocy temperatura wcale nie zachęca do wystawienia nosa za próg, trzeba zebrać się i ruszyć prędko w teren. Choćby dlatego, że o tej porze roku dzień jest krótki i szkoda każdej minuty. Powietrze jest tak ostre i szczypiące, że trudno swobodnie oddychać. Traktujemy to jako leczniczą krioterapię. Takie zimy to tutaj norma, więc trzeba być przygotowanym. Twarz smarujemy bardzo tłustym kremem, a nos i usta osłaniamy chustą.

Potem, w ciągu dnia, jest już lżej. Kiedy nie wieje wiatr, zdarzają się momenty, że najchętniej człowiek by się chwilę poopalał. Odbite od białej powierzchni promienie słońca miło przygrzewają i robi się zupełnie znośnie. Gdy pogoda dopisuje, wszystko skrzy się i mieni niczym brylanty – jest surowo i jednocześnie pięknie.

NA PRZEŁAJ, NA AZYMUT

Odpowiednio zleżały, ubity śnieg może być pretekstem, żeby skrócić z przetartej drogi i puścić się na przełaj. Narciarstwo biegowe po angielsku nazywa się właśnie cross-country skiing, co można przetłumaczyć jako narciarstwo przełajowe albo terenowe. To otwiera możliwości nie tylko sportowe, ale także turystyczne i krajoznawcze. Zaśnieżone pagórkowate tereny, często bezleśne, w jakie obfituje Suwalszczyzna, a także zamarznięte jeziora to idealny poligon do długich przechadzek z mapą i kompasem. Spod głębokiej warstwy śniegu wystają jedynie czubki płotów, a lód na jeziorach jest gruby i twardy jak beton.

W tej otwartej przestrzeni orientacja na azymut wydaje się idealnym rozwiązaniem. Jedyne w okolicach Szurpił i Jeleniewa, gdzie na głębokości kilkuset metrów zalegają soczewkowe złoża metali, busola będzie zupełnie nieprzydatna. Pamiętajmy, że deklinacja magnetyczna jest tu



FOT. DANIEL KLAWCZYŃSKI

TU SIĘ ZGARBISZ

Krajobraz Mazur Garbnych jest mocno pofałdowany i rzadko zalesiony, co sprzyja narciarstwu przełajowemu.



NA ZAPIECKU

W chacie ze słomy i gliny w czasie upałów jest chłodno, a podczas mrozów ciepło. Po długim dniu na nartach największym powodzeniem cieszy się piec z nagrzewającą się ławą.

FOT. DANIEL KLAWCZYŃSKI



FOT. DANIEL KLAWCZYŃSKI



POGRANICZE W ŚNIEGU

Idąc wzdłuż rzeczki Błędzianki, można dotrzeć do granicy z Rosją.

największa w Polsce i może wynosić nawet 20° (przeciętnie 6-7°).

W śnieżnej pustce, z dala od siedzib ludzkich czujemy się jak podczas prawdziwej wyprawy przez pustkowia tundry. Na trasie nie spotykamy ludzkich śladów, a idealnie gładki puch z rzadka tylko naruszony tropami lisów, saren czy jenotów. W pobliżu oparzelisk i niezamarzniętych skrawków wody zauważamy niekiedy charakterystyczne ślady brzucha i ogona pozostawione przez polującą wydrę. Z kępy krzaków czasami wyskakuje zając, a nad głową przelatuje kruk szukający padliny. Na zatłoczonych górskich stokach próżno szukać takiego kontaktu z przyrodą.

W KRAINIE OZÓW

Ten, kto toruje trasę i przeciera w puchu ślad, męczy się najbardziej, więc warto zmieniać się co kwadrans. Mocno urozmaicona rzeźba terenu – te wszystkie fantastycznie ukształtowane pagórki: ozy, kemy i drumliny – wymuszają na wędrowcu wzmógłony wysiłek. Widoki stanowią nagrodę za trud. Ze wzgórza w Smolnikach widać aż siedem jezior. Wierzchołek Góry Leszczynowej (272 m n.p.m.), którą udało się nam zdobyć, wznosi się tak wysoko, że widać stąd cały Suwalski Park Krajobrazowy. W zasadzie na każdą z tutejszych gór warto się wdrapać. Spoglądając z tych naturalnych tarasów widokowych, przekonujemy się, że krajobraz bardziej przypomina niższe partie gór niż Nizinę Środkowoeuropejską. Tutejsze wzgórza od dawna przyciągały ludzi. Zakładano na nich trudne do zdobycia grodziska, odprawiano obrzędy religijne, świętowano.

Powstały tu już trzy wyciągi narciarskie. Stoki w Szelmencie na Jesionowej Górze, w Dąbrówce oraz na Pięknej Górze koło Gołdapi dostarczają odpowiednich wrażeń także bardziej wymagającym zjazdowcom. Szusować przyjeżdża tu wielu gości z pobliskiej Litwy.

Jedną z ciekawszych tras, jaką udało się nam przejść w tym rejonie, jest ścieżka poznawcza Doliną Czarnej Hańczy. Wbrew nazwie nie prowadzi ona dnem doliny, lecz krawędzią wysoczyzny, z której roztaczają się wspaniałe widoki na płynącą głęboko w dole rzekę. To bez wątpienia jeden z najbardziej spektakularnych krajobrazów polodowcowych w Polsce. Docieramy tedy do Turtuła, gdzie mieści się siedziba Suwalskiego Parku Krajobrazowego. Drogę powrotną obiera-



TORY, KTÓRE ODJECHAŁY

Wiaduktami w Stańczykach wiodła niegdyś dwutorowa linia kolejowa Gołdap – Żytkiejmy. Armia Czerwona rozebrała ją w 1945 roku.



FOT. DANIEL KAWCZYŃSKI

PATRZ POD NARTY

Wędrując po zamrażniętej krainie, trafić można na liczne, wykute przez wędkarzy przeręble.



FOT. DANIEL KLAWCZYŃSKI



FOT. DANIEL KLAWCZYŃSKI

my na azymut, by nie wracać po swoich śladach. Nieskalana biel pól rozciągających się aż po horyzont zapiera dech w piersi.

W POLSKIEJ TAJDZE

Innym, niezwykle atrakcyjnym zimową porą kątkiem północno-wschodniej Polski jest Puszcza Romincka i jej obrzeża. Znajdziemy tutaj bogactwo przyrody, spokój i całą masę rozgrzewających wyobraźnię ciekawostek oraz tajemnic.

Kwaterujemy się w poniemieckim gospodarstwie Georga Hefera leżącym na skraju puszczy – obecnie to Dom Echa w Błędziszkach. Teren ten przed wojną należał do Prus i stąd tak wiele tu różnic w architekturze czy choćby w samym zagospodarowaniu terenu. Po „naszej” stronie, zaledwie kilka kilometrów stąd, są obszary typowo rolne, a tutaj prawdziwa puszcza. W zamierzchłych czasach była miejscem polowań wielkich mistrzów krzyżackich, a potem książąt i królów pruskich. Jej miłośnikiem był cesarz niemiecki i król pruski Wilhelm II. Puszcza Romincka zyskała sławę jako jedno z najlepszych łowisk w Europie. Dziś podzielona jest granicą polsko-rosyjską. Po obu stronach znajdują się głązy upamiętniające udane polowania cesarza w latach 1890-1913. Do dziś zachowało się 14 takich pomników, z których 8 znajduje się po polskiej stronie. Oryginalne pamiątki dawnych łowów zostały odrestaurowane i mogą stanowić jeden z celów wędrowki na nartach. Nam udaje się dotrzeć do dwóch z nich.

Atrakcją turystyczną, z którą Puszcza Romincka jest najczęściej kojarzona, są wiadukty w Stańczykach – najwyższe mosty kolejowe w Polsce. Na obrzeżach tego zwartego kompleksu leśnego zachowały się dawne pałace, parki oraz cmentarze ewangelickie, w tym także wojenne z okresu I wojny światowej.

Sunąc pośród okazałych borów świerkowych porastających rozliczne torfowiska, można zauważyć, na czym polega fenomen tej puszczy – przypomina ona lasy syberyjskiej tajgi. Robi to ogromne wrażenie i wcale nie dziwi, że budziło także zachwyt wielkich władców. Aż chce się przystanąć na moment, aby posłuchać tajemniczej pieśni puszczy. Oby nie za długo, bo teren jest trudny, urozmaicony wniesieniami i dolinami, poprzecinany ciekami wodnymi. Wcale niełatwo tędy maszerować, a lepiej zdążyć przed zapadnięciem zmroku. Wilków tu nie brakuje. ◯

KASKADERZY Z ACAPULCO

Paulina Kańska



Używając przywilejów blondynki w starciu z tutejszymi macho, a łokci wobec płci pięknej, dopchałam się do samej barierki. Staliśmy na wzgórzu z widokiem na wysokie urwisko. Raptem hulaśliwy tłum ucichł i rozstał się, umożliwiając przejście bosym chłopakom w kąpielówkach...



PAN ACAPULCO

Miejscowe plaże udostępniają każdą rozrywkę: skutery wodne, paralotnie unoszone za motorówką, przejażdżki na „bananie” czy kanu, łodzie wiosłowe, wakeboarding, windsurfing, kitesurfing, nurkowanie, wędkowanie, a nawet zabiegi spa bezpośrednio na plaży. Największa w zatoce Acapulco wyspa, la Roqueta, oprócz idealnych warunków do snoorklingu, oferuje również wizytę w ogrodzie zoologicznym.

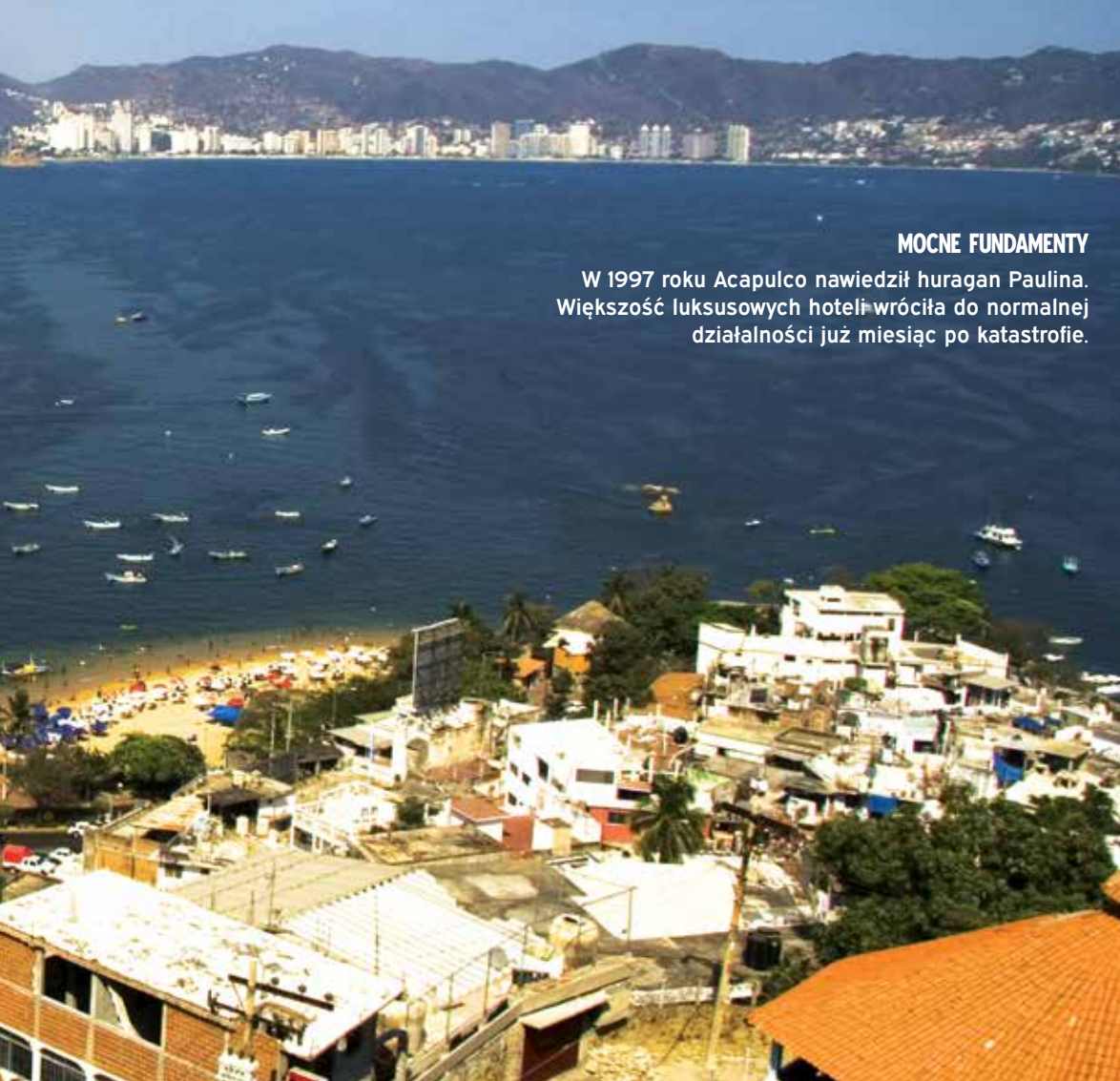
Wprawdzie tutejszym nowoczesnym hotelom daleko do stylu retro, niemniej miasto zawdzięcza swój kształt okresowi lat 1960. Wabiące luksusem i rozjaśnione neonami nocne życie to spuścizna czasów, kiedy Acapulco było azylem hollywoodzkich *beautiful people*: Elizabeth Taylor, Franka Sinatry, Brigitte Bardot. A wszystko za sprawą „Pana Acapulco”.

Ten pseudonim przyłgnał do gorącej i przebojowej natury Teddy’ego Stauffera, po-

ZŁOTO MEKSYKU

W hotelowych barach, także tych wodnych, można dostać wszystko. Największym powodzeniem cieszą się drinki ze złotą tequilą, znaną w Meksyku jeszcze w czasach prehiszpańskich.

Współczesne Acapulco zaprojektowano tak, aby turysta raczej nie opuszczał terenu hoteli. Niech spędza noc w objęciach drink-baru, a za dnia wypoczywa w chłodzie ogromnego apartamentu lub w niebieskiej wodzie basenu z widokiem na ocean. Fiesta mexicana, salsa, pokazy laserowych światel i dużo tequilli... Pięciogwiazdkowe wieżowce piętrzą się wzdłuż plaż, upajając gości przepychem oferowanych usług.



MOCNE FUNDAMENTY

W 1997 roku Acapulco nawiedził huragan Paulina. Większość luksusowych hoteli wróciła do normalnej działalności już miesiąc po katastrofie.



Aleksandra Lech
ekspert ubezpieczeń
podróżnych
w Ergo Hestia

Meksyk oferuje wiele możliwości uprawiania sportów ekstremalnych. Aby zminimalizować niebezpieczeństwo związane z niektórymi ryzykami, należy dobrze przemyśleć, jak powinno być skonstruowane ubezpieczenie na czas podróży w te rejony.

Zastanawiając się nad ubezpieczeniem na czas ekspedycji, warto pamiętać o trzech elementach:

Po pierwsze, należy sprawdzić, czy ubezpieczenie na czas podróży obejmuje również wypadki w następstwie uprawiania planowanych sportów. Dokupienie tej opcji, choć oznacza zazwyczaj wyższą składkę, jest konieczne. Inaczej ochrona może być niewystarczająca!

Po drugie, wybierając się w tereny górskie niedostępne dla zwykłych turystów, powinno się sprawdzić, na co można być narażonym. Grozić może kontuzja, i o tym z reguły myślą wszyscy, dobierając zakres ubezpieczenia. Ale warto również sprawdzić, czy ubezpieczenie obejmuje udział w akcji ratowniczej np. helikoptera i czy pokryje koszty specjalistycznych operacji.

Po trzecie, doświadczenie w ubezpieczeniu podobnych wypraw uczy, że nie warto oszczędzać. Polisa na taką wyprawę nie może być ani tania, ani standardowa – jak ta, którą kupuje się, jadąc na tydzień na plażę nad Morze Śródziemne.

Trzymając się powyższych zasad przy wyborze ubezpieczenia, otrzyma się produkt, który sprawi, że gdy przydarzy się nieszczęście, pieniądze na helikopter czy specjalistyczną operację będą ostatnią rzeczą, o jaką będzie się trzeba martwić. W tym przypadku rekomendowana suma ubezpieczenia na koszty leczenia powinna wynieść minimum 50 tys. USD. Na tak daleki wyjazd zalecany jest Wariant Pełny Ubezpieczenia (Holiday Charter Plus). Niezbędne będzie także OC w życiu prywatnym.

czątkowo lidera szwajcarskiej grupy jazzowo-swingowej. Cieszyła się ona blaskiem sławy tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej. Po europejskim sukcesie Stauffer próbował swoich sił w Hollywood jako kompozytor filmowy. Z powodu problemów z wizą musiał jednak opuścić Stany. Udał się więc do Meksyku, gdzie jako menedżer największych hoteli oraz założyciel dyskotek i klubów ze striptizem stał się twórcą wakacyjnego rajna na ziemi – amerykańskiego centrum rozrywki, czyli Acapulco, jakie znamy do dziś.

El Mirador po hiszpańsku oznacza „punkt widokowy”. Dla bywalców Acapulco słowo to ma jednak i drugie znaczenie. Kryje się pod nim legendarny hotel na wzgórzu La Mira – obiekt, który poza trzema basenami i pokojami typu „willa”, raczy swoich gości mrozącym krew w żyłach spektaklem. Szefem hotelu był swego czasu właśnie Mr Acapulco, który wypatrzył

grupę miejscowych chłopaków wykonujących brawurowe skoki do wody z pobliskiej skały La Quebrada. To on zamienił ich hobby w dochodową atrakcję turystyczną dla gości.

Wkrótce zainteresowała się tym telewizja, która rozpoczęła transmisję corocznych zawodów między zespołami La Quebrada Cliff Divers i USA – High Diving, rozgrywanych w okresie świąt Bożego Narodzenia. Zawody stały się jednym z pierwszych światowej sławy turniejów w sportach ekstremalnych. Od 2002 roku La Quebrada widnieje na Liście Światowych Rekordów Guinnessa jako „najwyższe regularne skoki do wody na główkę”.

CZTERY METRY NA PRZEŻYCIE

I oto właśnie nasi bohaterowie schodzą boso po skale na samo dno urwiska. Przepływa-



FOT. PAULINA KANISKA



FOT. SHUTTERSTOCK

URWANA SKAŁA

Tak tłumaczy się hiszpańską nazwę urwiska La Quebrada, z którego skaczą śmiałkowie, kiedy już z narażeniem życia wejdą na szczyt.

ją przełęcz i wspinają się na widoczne przed nami wzgórze. Skałę pokonują szybko niczym duże zwinne pająki, o które, niestety, w Meksyku nietrudno. Po chwili większość skoczków jest już na samym wierzchołku, gdzie znakiem krzyża oddaje się pod opiekę Matce Boskiej. Dwóch z nich zatrzymało się przed szczytem. Stojąc jeden pod drugim na skalnych półkach, przygotowują się do skoku. Pomimo szumu wody i sporej odległości, jaka dzieli ich od widzów, z pewnością słyszą nasze dopingujące krzyki, gwizdy i oklaski...

Minuty mijają, dłonie bolą od klaskania, a chłopaki jak stali, tak stoją. Stchórzyli! –

przeszło mi przez myśl. Zanim jednak zdążyłam wypowiedzieć to na głos, wykonali synchronicznie dwa skoki – jeden przodem do zbocza z fikołkiem w przód, a drugi tyłem do przepaści z podobnym piruetem w przeciwnym kierunku.

Choć mogłoby się wydawać, że młodzi skoczkowie są przeszkolonymi w Hollywood królami w budowaniu suspense, ich zwlekanie miało zupełnie inny sens. Znajdująca się pod nami zatoczka to zaledwie 4 metry głębokości, i to tylko w chwili, gdy zalewają ją wody nadchodzącej fali. Przekazywana sobie z pokolenia na pokolenie umiejętność członków



zespołu La Quebrady polega na wyczuciu czasu, w którym ten skok z 35-metrowej skały nie będzie zwykłym samobójstwem.

Po dwóch pierwszych śmiałkach popis dają kolejni skoczkowie, za każdym razem startując z nieco innej wysokości i z odmienną choreografią lotu. Młodzi Meksykanie brawurową tradycję igrania ze śmiercią mają we krwi. W sumie w trakcie półgodzinnego pokazu przecięli ton wody 18 razy, nurkując w przepaść z łatwością i gracją, z jaką robią to miejscowe pelikany. Jeśli czegoś mogło mi zabraknąć, to tylko akrobacji w wykonaniu dziewczyny, która od kilku lat zasila kadrę La Quebrady.

Skoczkowie, cali mokrzy i podekscytowani, wspięli się z powrotem na naszą stronę urwiska i przecisnęli zwinnie między tłumem. Stanęli przy wejściu, aby pozować do zdjęć za drobne napiwki. Dla nas przedstawienie było skończone. Oni mieli wrócić tu za kilka godzin, aby znów ryzykować życie karkołomnymi piruetami, tym razem skacząc do wody nocą, z pochodnią w ręku. Pokazy odbywają się bowiem pięć razy na dobę.

Wychodząc, minęłam amerykańskich turystów, którzy debatowali nad tym, jak można tak ryzykować dla pieniędzy. Spojrzałam na skoczków, którzy z szaleństwem w oczach i ser-

SŁOŃCE, TYLE SŁOŃCA...

...śpiewał włoski zespół Ricchi e Poveri w słynnym przeboju „Acapulco” z lat 1980.

decznym uśmiechem na ustach przeżyli właśnie swoje muskularne sylwetki do fotografii z babcią i jej wnuczką. Gdy mój przewodnik spytał o wrażenia, odpowiedziałam bez chwili zastanowienia: – *To prawdziwa przyjemność na nich popatrzeć. Jak dla mnie, mogłoby nawet nie skakać.*

skiej piramidy oraz fortecę San Diego – jeden z najlepszych przykładów fortyfikacji Meksyku, gdzie dziś, w trzynastu salach Muzeum Historycznego, można zapoznać się z dziejami miasta.

W XVI wieku Acapulco było jedynym portem, w którym Hiszpanie pozwalali cumo-



FOT. PAULINA KANISKA

**WYLĄDOWAŁA? NIE!
ZARAZ POLECI**
Kurorty Acapulco
prześcigają się
w wymyślaniu atrakcji
ekstremalnie turystycznych.

WSZYSTKIE ŻYCZENIA GOŚCI

Dzisiejsze Acapulco tętni życiem bez względu na porę roku. Codziennie są tutaj rejsy na ocean łodzią o szklanym dnie w poszukiwaniu żółwi i delfinów. Dla pasażerów, którym nie dane było ujrzeć wyjątkowej fauny Pacyfiku, rekompensatą może być wizerunek Matki Boskiej z Guadalupe w podwodnej kaplicy (*Capilla Submarina*). Swoistym krajobrazowym kontrastem wobec niej jest górująca nad miastem *Capilla de la Paz* – ekumeniczna kaplica wybudowana w latach 70-tych w najwyższym punkcie wzgórza El Guitarrón. Udziela się tu ślubów parom nie będącym tego samego wyznania.

Z nietuzinkowej architektury warto wymienić jeszcze hotele w kształcie prekolumbij-

wać galeonom powracającym z Chin i Filipin. Handlowano głównie skarbami Azji: jedwabiem, porcelaną oraz przyprawami. Galeon „Manila”, statek kursujący kilka razy do roku między Meksykiem, zwanym wówczas Nową Hiszpanią, a Filipinami, można podziwiać w Parku Papagayo. Na jego terenie znajduje się również kolejka linowa i... tor saneczkowy.

Acapulco najbardziej oblegane jest w okresie od świąt Bożego Narodzenia do Wielkanocy. Nawet w porze deszczowej, która trwa tu od czerwca do października, nie brakuje amatorów turystycznych atrakcji miasta. Kurort dosłownie prześciga się w pomysłach, aby zaspokoić wszystkie pragnienia swoich gości, nawet te, o których przed przybyciem do tego miasta nie mieli jeszcze pojęcia. ○



- ➔ Nie wiesz jaki wybrać aparat?
- ➔ Opisy 161 kompaktów i aparatów z wymienną optyką
- ➔ Fotograficzne ABC
- ➔ 188 stron za jedyne 15 zł
- ➔ Szukaj Wydania Specjalnego Foto-Kuriera w kioskach!

Wydanie aktualne:



Prenumerata:



pismo użytkowników sprzętu foto i wideo

FOTO[®]

KURIER

nieodłączny partner w podróży



Bezpłatnie na tablety!

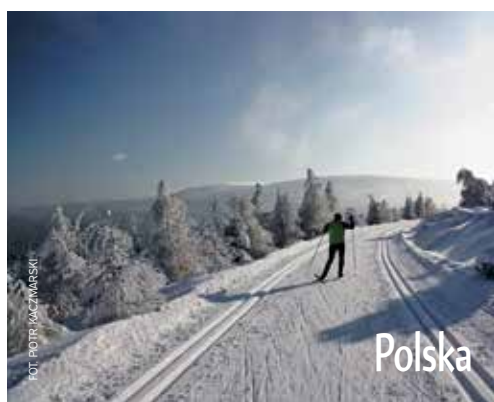




NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady





TU POWSTAŁ TITANIC

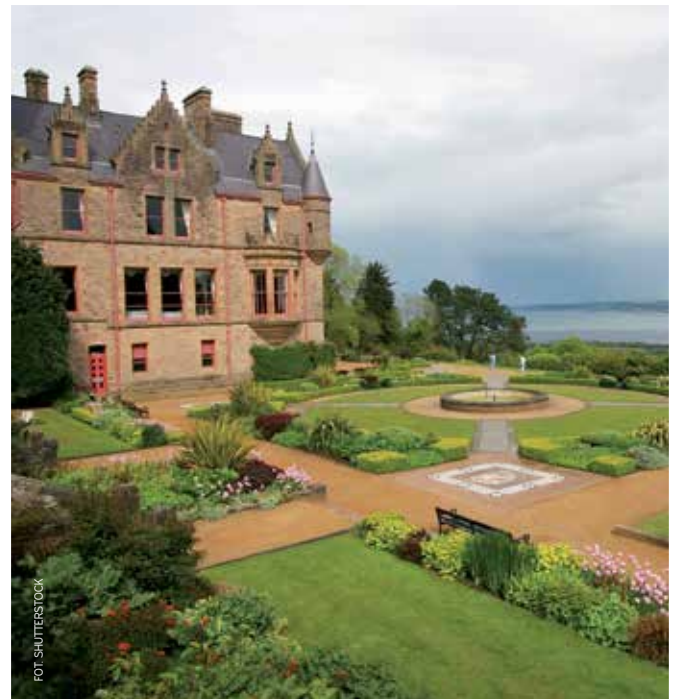
Belfast jest dziś chętnie odwiedzany przez turystów. Miasto słynie z licznych terenów zielonych, jak na przykład Sir Thomas and Lady Dixon Park, w którym znajduje ponad 20 tysięcy różnorodnych roślin kwitnących. W parku tym co roku odbywa się międzynarodowa wystawa róż. Najwybitniejszymi zabytkami Belfastu są budynki z epoki wiktoriańskiej i edwardiańskiej, zamek z XII wieku, ratusz miejski z 1906 roku, a także wiele katedr anglikańskich i katolickich. Ważnym budynkiem jest Stormont, który stanowił niegdyś siedzibę władz Irlandii Północnej.

Zwiedzając to niezwykle urokliwe miasto, warto też obejrzeć dok, w którym wybudowano słynnego Titanica oraz poświęcone statkowi interaktywne muzeum.



54°36'N 05°56'W

140 km na północ od Dublinu.





Dla każdego coś śnieżnego

Szklarska Poręba to jeden z największych polskich sudeckich ośrodków narciarskich. Jest tu prawie 15 km tras i 20 wyciągów narciarskich. SkiArena Szrenica oferuje trzy koleje linowe, w tym najdłuższą w Polsce sześcioposobową kanapę „Karkonosz-Ekspress”, która na górę wjeżdża w zaledwie osiem i pół minuty, pokonując 2,4 km. Jest tu 5 tras zjazdowych o łącznej długości ponad 12 km. To nartostrady dla narciarzy o różnym stopniu umiejętności, m.in. Puchatek (1470 m) dla początkujących, najdłuższa w Polsce słynna Lolobrygida (4400 m) czy bardzo wymagający FIS zwany również „ścianą”.

Polana Jakuszycka w Górach Izerskich to raj dla biegaczy. Tutaj każdego roku rozgrywany jest największy w Polsce i jeden z największych na świecie narciarski Bieg Piastów, a w styczniu

2014 roku w Szklarskiej Porębie po raz drugi zostaną rozegrane zawody Pucharu Świata w narciarstwie biegowym.

Ośrodek oferuje trasy biegowe o różnym stopniu trudności, od bardzo łatwych po bardzo trudne, o łącznej długości ponad 100 km. Najmłodszym miasto oferuje przedszkola narciarskie na stokach. Dla piechurów dostępne są całoroczne szlaki tematyczne, m.in. Magiczny Szlak Ducha Gór, który pozwala odkryć Szklarską Porębę poprzez grę terenową, Astro Izery, Szlak Waloński czy Wędrówki z Fraszką.

 50°50'N 15°32'E

16 km na południowy zachód od Jeleniej Góry.

Portugalia Porto

MIASTO WINEM PŁYNAĆE

Porto leży nad Oceanem Atlantyckim w północnej części kraju. Stare miasto zostało wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Może ono pochwalić się licznymi zabytkami, takimi jak barokowy kościół i wieża Clérgios oraz średniowieczna katedra. Miasto pełne jest kawiarenek, teatrów, restauracji oraz piwnic oferujących degustację słynnego na całym świecie wina porto. Wiele budynków i kamienic ozdobionych jest charakterystycznymi, barwnymi *azulejos* – cienkimi płytkami ceramicznymi, pokrytymi błyszczącym szkliwem.



 41°10'N 08°36'W

275 km na północ od Lizbony.



W ciepłym słońcu ZIMOWEJ KARYNTII

Karyntia oferuje optymalne warunki śniegowe i pogodowe oraz ponad 1 000 kilometrów doskonale przygotowanych stoków w 31 ośrodkach narciarskich. Aby w pełni wykorzystać słoneczną zimę z gwarancją śniegu, warto kupić ważny we wszystkich ośrodkach karnet TopSkipass Kärnten/Osttirol, w który zaopatrzyć się można przy wszystkich wyciągach.

Zajęcie dla siebie znajdą tu także ci, którzy szukają rozrywki poza stokiem. Karyntia, ze swoimi ponad 200 jeziorami, jest prawdziwym rajem dla łyżwiarzy, miłośników curlingu austriackiego oraz golfu na lodzie. Do uprawiania tych sportów wyjątkowo nadaje się jezioro

Weissensee o powierzchni 6,5km² – największa naturalna powierzchnia w Europie przystosowana specjalnie do tych celów. Karyntia jest też ulubionym miejscem miłośników nart skitourowych. Podwójnie ratrakowane trasy do narciarstwa biegowego, oświetlone tory saneczkowe i wędrowki na raketach śnieżnych to inne propozycje spędzania tu czasu. Niezapomniane wrażenia zapewni także jazda psim zaprzęgiem.

Nową atrakcją są dwa funparki i snowparki, które znajdują się w regionie Innerkrems. A przy zawodach Freeride World Qualifier Tour, od 1 do 3 marca, na stokach góry Goldeck urlopowicze mogą podpatrzeć międzynarodowe sławy freeride'u.

Na gości czekają liczne hotelowe oferty wellness. Tradycyjne zabiegi, takie jak kąpiel w lnie z aromatem jodłowym, masaż olejkami lawendowym lub kąpiel w sianie, rozprężają równie dobrze jak termalna kąpiel rzymska w Bad Kleinkirchheim. Obowiązkową pozycją dla miłośników wellness jest też pływająca sauna na Pressegger See – skok do zimnej wody jeziora to niezapomniane przeżycie. Kto nie jest gotowy na tak



ekstremalną przygodę, może odpocząć w podgrzewanych basenach w hotelu Hochschober na Turracher Höhe oraz w hotelu Koller nad Millstätter See.

Karynckie gospody i schroniska znajdują się po południowej stronie Alp, więc pobyt na ich słonecznych tarasach wprawi każdego w dobry nastrój. W przytulnych miejscach na wolnym powietrzu można wziąć głęboki oddech i naprawdę odpocząć.



46°43'N 14°10'E

7 km na wschód
od Feldkirchen in Kärnten



Więcej informacji na www.karyntia.pl

Austria

ZAMEK HOHENWERFEN

Cezary Banasiak



FOT. CEZARY BANASIAK

Miłośnicy szpiegowskiego kina wojennego zapewne kojarzą wspaniałą, a zarazem złowieszczo wyglądającą twierdzę Schloss Adler, która pojawiła się w filmie „Tylko dla orłów” (1968). Ten słynny obraz z Clintem Eastwoodem i Richardem Burtonem kręcono w austriackim zamku Hohenwerfen, wnoszącym się na 155-metrowej skale, w samym środku Alp Berchtesgadeńskich, ponad doliną rzeki Salzach. Ta doskonała lokalizacja została doceniona już w połowie XI wieku, kiedy to wzniesiono pierwsze umocnienia (od 1075 r.). Arcybiskup Gebhard stojący po stronie papieżstwa w sporze o inwestyturę był silnym wsparciem, a zarazem gwarantem spokoju przy granicy z Niemcami ze swoimi trzema potężnymi zamkami – Hohenwerfen, Hohensalzburg i Petersburg. Jednak nie uchroniło go to przed wypędzeniem.



FOT. CEZARY BANASIAK



W kolejnych latach zamek pełnił także funkcje bazy wypadowej na liczne polowania, które w miejscowych zasobnych lasach urządziła sobie średniowieczna śmietanka towarzyska – władcy Salzburga, liczni książęta i arcybiskupi.

Sporej przebudowy dokonano już w XII wieku, a remontów dokonywano później jeszcze nie raz – m.in. w latach dwudziestych XVI wieku podczas tzw. wojny chłopskiej. Gdy zbuntowani rolnicy i górnicy występujący przeciwko ciemniącemu ich arcybiskupowi złupili i spalili zamek, wzmocniono stanowiska artyleryjskie i przystosowano do użycia dział i broni palnej.

Gdy zamek został zajęty przez Bawarczyków pod koniec XVIII wieku, wszystkie działa przejęła francuska armia Napoleona, a sama budowla po odebraniu jej arcybiskupom mocno straciła na znaczeniu i stała w obliczu nieśpiesznego, ale nieuchronnego popadania w ruinę i zapomnienie. Wprawdzie podejmowano próby renowacji (np. w latach 1824-1833), ale nie zmieniało to ogólnego braku wizji dla tak potężnej budowli w zmieniających się czasach. W 1931 roku pożar strawił

znaczoną część zabudowań, a mimo przeprowadzonych remontów arcyksiążę Eugeniusz Ferdynand nie cieszył się zbyt długo ich owocami. Nadszedł bowiem czas władzy nazistów, którzy w 1938 roku wymusili przejęcie zamku i zrobili w nim swoje centrum szkoleniowe „Gau Salzburg”.

Po II wojnie światowej Hohenwerfen aż do 1987 roku wykorzystywany był jako obóz szkoleniowy żandarmerii austriackiej i w związku z tym był niedostępny dla zwiedzających. Gdy jednak wreszcie udostępniono go turystom, zrobiono to z rozmachem. Poza ciekawymi trasami po pomieszczeniach zamkowych, wspaniałymi dwoma dziedzińcami, salką kinową, gdzie można obejrzeć fragmenty „Tylko dla orłów”, sklepikami i restauracją, słynne w całej Europie są pokazy ptaków drapieżnych organizowane od maja do października. Można wtedy zobaczyć sokoły, jastrzębie, orły i ogromne sępy.



47°29'N 13°11'E

40 km od Salzburga, 30 km od granicy austriacko-niemieckiej.





W TEHERANIE
ŚNIA
O ZMIANIE

Robert Czulda



FOT. ROBERT CZULDA



Jadąc do Iranu, oślawionej „osi zła”, miałem głowę wypełnioną stereotypami o tym państwie, ponoć pełnym religijnych wariatów czyhających na obcokrajowców. Już pierwsze dni w Teheranie pozwoliły mi zrozumieć, jak bardzo obrazy te są nieprawdziwe.



FOT. SHUTTERSTOCK

ZAMIESZKANIE W TEHERANIE

Stolica Iranu leży u stóp masywu górskiego Elburs, na wysokości 1500 m n.p.m. Jest największym miastem Bliskiego Wschodu. Oprócz Persów, którzy stanowią większość, żyją tu liczne mniejszości narodowe. W ostatnich dekadach XX wieku nastąpiła gwałtowna emigracja oraz duży przyrost naturalny, co skutkowało szybką rozbudową miasta o typowe bloki mieszkalne.

Istnieją co najmniej trzy wizerunki Iranu. Pierwszy to ten odbierany przez Zachód. To Iran bezkompromisowych, antysemitycznych fanatyków religijnych, każdego dnia krzyczących „Śmierć Ameryce”, palących izraelskie flagi i czekających tylko, by podpalić świat. To najłatwiej sprzedać opinii publicznej, która nie odróżnia Arabów od Persów i kupi wszystko, co zobaczy w telewizji.

Drugi to ten budowany przez irański rząd – składają nań przede wszystkim elementy religijno-męczeńskie. Władza tworzy wizerunek Irańczyków jako ludzi uduchowionych, antyzachodnich, oddanych sprawie palestyńskiej. A przede wszystkim głęboko wierzących i żyjących zgodnie z religijnymi i życiowymi nakazami swych przywódców, zwłaszcza spoglądającego z setek plakatów ajatollaha Chomeiniego. Sta-

nowi on niezmiennie postać centralną Islamskiej Republiki Iranu, zupełnie jakby ciągle żył.

Jest jednak także i ten trzeci wizerunek, znany najmniej, ale moim zdaniem prawdziwy. To Iran ludzi ambitnych, przyjaznych, sympatycznych, którzy mają takie same problemy, jak ich rówieśnicy na Zachodzie. I są niesłychanie otwarci na gości z zagranicy.

PRAWO SWOJE, A ŻYCIE SWOJE

Na pierwszy rzut oka trudno jest odkryć ten trzeci Iran – jest szczelnie przykryty przez dwa pierwsze. Przybycie do Teheranu również nie zachęca do jego poznania. Miasto to wielki, prawie 15-milionowy kocioł, niemal pozbawiony ciekawych zabytków. Odstrasza



TRZY GRACJE

Młode Iranki są ambitne i świadome swych pragnień. To one stanowią większość na irańskich uniwersytetach.

on turystów wszechobecnym smogiem, chaosem komunikacyjnym i szalonymi kierowcami, którzy nie respektują żadnych przepisów ruchu drogowego. Teheran to smutne miasto, bo na każdym rogu podkreśla się męczeństwo z czasów krwawej wojny iracko-irańskiej z lat 1980. Tutaj jest ona nadal żywa – przyjeźdnego dosłownie atakują ulice, ronda i stacje metra nazwane na cześć męczenników. Miasto jest brudne, stare, zaniedbane, ale mimo wszystko z jakiegoś powodu pasjonujące na tyle, że spędziłem w nim aż miesiąc, nie decydując się na podróż poza jego granice.

Pobyt w Teheranie pozwala szybko pozbyć się kilku narosłych mitów, typowych dla przeciętnego przedstawiciela Zachodu. Dotyczy to chociażby zakazów, które są płynne i zależne od nastroju władzy w danym momencie.

W Iranie wielu rzeczy nie wolno, ale teherańczycy zupełnie się tym nie przejmują. Jest bowiem surowe prawo i jest liberalna rzeczywistość. Nie wolno mieć telewizji satelitarnej, a i tak każdy ją ma. Nie wolno mieć Facebooka, ale każdy młody teherańczyk posiada swój profil. Kobiety powinny podróżować w osobnych przedziałach metra i autobusów, ale często tego nie robią.

Najsurowsze prawo dotyczy sfery obyczajowo-religijnej. Zgodnie z nim kobieta musi chodzić skromnie ubrana. Teoretycznie nie ma mowy o wystającym spod hidżabu nawet jednym włosie. Nakrycia głowy są od czasów islamskiej rewolucji 1979 roku obowiązkowe dla każdej kobiety – nawet obcokrajowca. Kobieta nie może też być w sytuacji intymnej, a więc chociażby przebywać w jednym pokoju



PRAWIE ZGODNIE Z PRAWEM

Według prawa kobieta
w Iranie nie może
odstąpić nawet jednego
włosa spod chusty.

czy samochodzie z mężczyzną, który nie jest członkiem jej rodziny. Obowiązuje surowy zakaz picia alkoholu, publicznego całowania i zbytniego okazywania uczuć.

PANIE W TEHERANIE

Teheran jest pełen ślicznych kobiet, które wprawdzie noszą chusty, ale przeważnie luźno zarzucone na głowy. Wiele z nich ma modne ubrania, seksowny makijaż i buty na wysokim obcasie. Dają się zatrzymać na ulicy i chętnie opowiadają o sobie, o życiu Irańczyków oraz Iranek. Chodzą z kolegami i swymi chłopakami do kawiarni czy kina, trzymając się za ręce. Nie wiele sobie robią z nakazów, bo wiedzą, że policja nie może aresztować wszystkich. W ten właśnie sposób dają wyraz swojej kobiecej naturze, chęci pokazania niezaprzeczalnej urody. Walczą

z ograniczeniami, których wiele z nich nie akceptuje i chętnie porzuca przy każdym przekroczeniu granicy. Wystarczy wejść do samolotu, by jeszcze przed odlotem z Teheranu zobaczyć, jak dziewczyny zrzucają z siebie chusty.

Wbrew pozorom Iran – jak na standardy regionu – jest państwem liberalnym, w którym kobietom wolno dużo więcej niż w Afganistanie, Pakistanie czy Arabii Saudyjskiej, gdzie nie mogą nawet prowadzić samochodu. W Iranie kobiety nawet pracują jako taksówkarki. Nie brak ich także na wysokich stanowiskach, również w parlamencie. Niczym nie przypominają zastraszonych i podporządkowanych mężczyznom Arabek – są świadome swej wartości i dumne z pochodzenia. Wiedzą, czego chcą od życia.

Często starają się związać z Zachodem, gdzie w ich odczuciu, czasem naiwnym, czeka lepszy los – praca godna marzeń, nieskrępowa-



FOT. ROBERT CZALDA

na wolność decydowania o sobie, a także chłopak, który będzie traktował je po partnersku. Liczą, że będzie im wierny, bo w irańskiej kulturze o to trudno – wierności oczekuje się tylko od kobiet. Nic więc dziwnego, że to kobiety stanowią większość studentów na uniwersytetach i to właśnie one lepiej mówią w językach obcych. To dla nich klucz do lepszego życia.

Oczywiście życie Iranek nie jest łatwe. Zapewne byłoby łatwiejsze, gdyby godziły się na patriariat, ale są zbyt dumne i odważne, by to robić. W konsekwencji nie brak dziewczyn, które wpadają w ręce „policji smaku” – funkcjonariuszy zatrzymujących na ulicy kobiety, które w ich odczuciu wyglądają zbyt wyzywająco. Co to dokładnie znaczy? W praktyce nikt tego nie wie, bo decyzja zależy od poczucia estetyki i opinii konkretnego policjanta. Dla jednego powodem do aresztowania będzie

zbyt kolorowa chusta, dla innego buty na wysokim obcasie i makijaż, a dla jeszcze innego opięte džinsy. Niezależnie od powodu kończy się to tak samo – wizytą na policji, spisaniem i koniecznością przybycia rodziców, nawet jeśli dziewczyna jest pełnoletnia.

ZACHODNIE MARZENIA

Młodzi teherańczycy nie różnią się od swych rówieśników z Zachodu. Spędzają czas tak samo – siedząc na Facebooku, kupując zachodnie ubrania znanych producentów, czytając książki, słuchając amerykańskiej muzyki czy oglądając najnowsze filmy z Hollywood. Ściągają je z internetu, bo irańska telewizja niechętnie je pokazuje, a jeśli już, to cenzurując sceny golizny: albo wycinając dany fragment, albo też „doklejając” ubrania, czasem z komicznym efektem.

**KOCHAM CIĘ,
A KOCHANIE MOJE...**

Prawo zabrania również publicznego okazywania uczuć.



FOT. ROBERT CZULDA

NA DIABELSKICH OBCASACH

Obcasy są uważane przez władzę za „wymysł szatana”. Wzorcowa Iranka powinna chodzić na płaskiej podeszwie, bez makijażu i w skromnym, najlepiej czarnym ubraniu zakrywającym kształty.

Młodzież imprezuje nie mniej niż ich kole-dzy na Zachodzie. Nie ma oczywiście pubów i klubów, ale i na to jest sposób – imprezy domowe, na których nastolatki paradują w skąpych sukienkach. Nielegalnie sprowadzany alkohol leje się strumieniami. Policja raczej nie interweniuje, bo istnieje niepisana zasada, że państwo nie ingeruje w sprawy, które toczą się za zamkniętymi drzwiami. Jeśli już jakiś sąsiad, poirytowany głośną muzyką, powiadomi organy ścigania, na ogół wystarczy wysłać najbardziej trzeźwego uczestnika imprezy, by dogadał się z policjantami, tłumacząc, że to spotkanie rodzinne i nie ma żadnych obcych kobiet.

Wbrew pozorom teherańczycy nie są zbyt religijni, szczególnie ci młodzi, którzy wyraźnie odchodzą od wiary na rzecz agnostycyzmu, a nawet zakazanego ateizmu. Wielu z nich, będąc na Zachodzie, zajada się wieprzowiną. Chętnie obchodzą walentynki, a nawet... Boże Narodzenie, aczkolwiek ograniczone do sfery profanum – choinki, bombek oraz prezentów. Rację ma więc chyba jeden z mych irańskich znajomych, który stwierdził, że Iran – paradoksalnie – to jedno z najbardziej świeckich i umiarkowanych państw muzułmańskich, w którym zasady islamu tak naprawdę nigdy do końca nie rządziły z powodu



dominacji kultury perskiej.

Również zwykłe rozmowy Irańczyków pozwoliły mi utwierdzić się w przekonaniu, że przeciętny mieszkaniec tego kraju nie jest fanatykiem. Dyskusje nie toczą się o „wymazaniu Izraela z mapy”, nie o wojnach i bombie atomowej, lecz przede wszystkim o tym, o czym rozmawiają ludzie także w Europie – czyli o problemach gospodarczych. Trudno nie zauważyć, że sankcje są wielkim problemem dla zwykłych Irańczyków – w krótkim okresie ceny gwałtownie wzrosły, a wartość riala spadła o kilkadziesiąt procent, przez co pragnący studiować w Europie lub Stanach Zjednoczonych młodzi ludzie stracili szanse na wyjazd. Z dnia na dzień ich marzenia o lepszym życiu legły w gruzach.

SŁODKA PERSJA

Każdy, kto był w Iranie, potwierdzi, że to bardzo gościnny i przyjacielski naród. Widząc obcokrajowca, przechodnie często do niego zagadują, wypytując z ciekawością, co wie o Iranie i jak mu się tu podoba. Ze smutkiem przyjmują, że najbardziej znanym Irańczykiem na Zachodzie jest ich prezydent, a nie jeden z poetów, z których są naprawdę dumni.

Właściwie nie sposób wyciągnąć na ulicy mapy, bo zaraz ktoś podchodzi z pytaniem, czy może pomóc. Nie ma znaczenia narodowość – gość to świętość, okno do upragnionego świata.

Być może to właśnie ta niezwykła gościnność tamtych ludzi, ponoć tym większa, im dalej od Teheranu, sprawiła, że Iran tak bardzo mnie zafascynował. Być może więc raczej miał mój irański przyjaciel, który ostrzegał przed starym powiedzeniem – kto raz napije się wody z Persji, tego serce na zawsze w Persji pozostanie. ○

REKLAMA

Polski Caravaning

MAGAZYN AKTYWNEGO WYPOCZYNKU

Wszystko o caravaningu



SZUKAJ W SALONACH:

EMPIK **inmedio**

KOLPORTER **RELAY**

W SEZONIE RÓWNIEŻ NA TWOIM CAMPINGU



www.polskicaravaning.pl

tel. 58 777 01 25, e-mail: prenumerata@polskicaravaning.pl

Przymierzając się do tej góry, mieliśmy w trójkę 191 lat oraz niemało strachu. Wejście na Mount Cook wymagało umiejętności większych niż na Elbrus, Mont Blanc czy nawet Matterhorn.

GÓRA

TRZECH SENIORÓW

Marek Głogoczowski



DŁUGI JEZOR

Lodowiec Tasmana, wypływający spod góry o tej samej nazwie, jest największy w Nowej Zelandii. Jego długość wynosi 29 km, a szerokość dochodzi do 4 km.

Andrzej Kula, mój partner wspinaczek w Tatrach i Alpach, na stałe mieszkający w Australii, zaproponował, że ufunduje mi kilkutygodniowy pobyt na Nowej Zelandii, a do tego połowę kosztów przelotu na jej odległą Wyspę Południową. Chodziło o towarzyszenie mu w próbie wejścia na najwyższy szczyt tego kraju – Mount Cook, znany także jako Aoraki. Wynajęcie lokalnego przewodnika na taką eskapadę kosztuje blisko 3 tysiące dolarów. Praktyczniej więc było pokusić się o zdobycie góry z emerytowanym instruktorem alpinizmu, sprowadzonym aż z Polski.

Do naszej miniwyprawy udało się dobrać drugiego Andrzeja, Mierzejewskiego, tym razem z Warszawy, z którym w zamierzonych czasach (1975-1988) wspinałem się po najtrudniejszych drogach nie tylko Alp, ale i Picos de Europa (ściana Naranjo de Bulnes) w Hiszpanii.

Ja sam sporą część życia spędziłem w górach poza Polską, na wszystkich trzech kontynentach północnej półkuli (w tym na McKinley na Alasce – 6194 m n.p.m. i Makalu-La w Nepalu/Tybecie – 7410 n.p.m.).

Razem liczyliśmy sobie 191 lat, czyli dokładnie tyle, ile lat miała pół roku wcześniej moja ekipa na Elbrus, gdzie poszliśmy z Romanem Kuźniarem z Warszawy oraz Jackiem Kranzem z Bieszczad.

FOT. MAREK GŁOGOCZOWSKI



DOBRY PUNKT WIDZENIA

Schronisko Muller Hut leżące na 2200 m n.p.m. to najlepszy punkt wypadowy w góry. Jest również idealnym miejscem do podziwiania szczytu Mount Cook.



ATAK Z MARSZU

W Christchurch, głównym mieście Wyspy Południowej Nowej Zelandii, wylądowaliśmy 28 grudnia, po ponad 40 godzinach podróży. Na aklimatyzację poświęciliśmy tylko dwa dni, kolejne dwa na przystosowanie się do wysokości 2200 metrów, na której znajdowało się schronisko pod Mount Cook, do którego dotarliśmy helikopterem. Ponieważ pogoda była wymienita, w niecałe pięć dni od wylądowania na antypodach, 2 stycznia 2012 tuż po północy ruszyliśmy w kierunku wymarzonego celu.

Byliśmy trochę spięci, bo lodowiec, po którym mieliśmy podchodzić, oglądany z helikoptera wydawał się nie do przejścia, tyle znajdowało się w nim szczelin. Na szczęście poprzedniego dnia na szczycie było trzech przewodników z klientami, więc na lodowcu

pozostały po nich dodające otuchy ślady. Wraz z nami wyruszyły jeszcze cztery inne zespoły i w towarzystwie było rażniej, zwłaszcza przy nocnym kluczeniu pomiędzy dziesiątkami szczelin.

Trzeba powiedzieć, że w górę, pomimo naszego wieku, szło nam się całkiem nieźle. Po 10 godzinach, pokonawszy pasmo bardzo kruchych skał, stanęliśmy na czymś w rodzaju łącznika trzech grani Mount Cook. Od niego biegła jeszcze poziomo, przez około sto metrów, ścieżka w śniegu po ostro uciętej grani. Dochodziła do podstawy wierzchołka, przewyższającego ją o kilka metrów. Maoryska tradycja zabrania jednak alpinistom na niego wchodzić.

Zatrzymaliśmy się więc kilkanaście metrów od najwyższego szczytu nowozelandzkiej Alp Południowych. Jego aktualna wy-

GOTUJĄC SIĘ NA COOKA

Turystyczne miasteczko Mount Cook Village leży na wysokości 800 m n.p.m. Stąd helikopter zabrał nas w miejsce, z którego rozpoczęła się nasza wspinaczka.



FOT. MAREK GŁOCCZ-ZAWISKI

PROWADZI NAS AUTOR

Trawers w partii podszczytowej, na wysokości 3200 m n.p.m. Na czele grupy autor reportażu.

sokość to 3754 metry n.p.m. Dwadzieścia lat temu Mount Cook był o 10 metrów wyższy, ale w grudniu 1991 spory odcinek szczytowej grani obsunął się w dół, i to aż o dwa kilometry.

Droga powrotna wymagała kilku zjazdów na linie poprzez skalny uskok, czego dokonywaliśmy w piątkę, wraz z parą (ojciec i syn) alpinistów z Los Angeles. Zabrało nam to sporo czasu, ale niezbyt się spieszyliśmy, wiedząc, że do zmroku jeszcze daleko. Po 19 godzinach od momentu ich założenia, z ulgą zdejmowaliśmy raki przed drzwiami schroniska.

WIELCY POPRZEDNICY

Trasa na Mount Cook należy do wymagających (III w alpejskiej skali trudności), stąd też niewiele osób na nią wchodzi. Tutejszy do-

świadczony przewodnik spotkany w schronisku twierdził, że jest to nie więcej niż 200 osób rocznie.

4 stycznia 2012, gdy byliśmy już w wygodnym schronisku New Zealand Alpine Club w pobliżu turystycznej wioski Mount Cook, leżącej na wysokości ok. 700 metrów n.p.m., odebrałem e-mail, opisujący perypetie, jakie miała tutaj polska wyprawa trzydzieści jeden lat wcześniej. Pisał Marek Rudnicki z Chicago:

„Lata temu byłem pod Mount Cook z grupą najlepszych wówczas na świecie (Jurek Kukuczka, Krzysiek Wielicki, Rysiek Pawłowski, Rysiek Warecki, Janusz Mikołajczyk i jeszcze chyba dwie osoby, m.in. Kuba Trzeszewski z Kroniki Filmowej). Ja byłem lekarzem tej grupy.

Obóz mieliśmy szereg kilometrów od schroniska, ale często tam zachodziliśmy po-



Andrzej Mierzejewski



Marek Głogoczowski



BIAŁE PUŁAPKI

Szczeliny lodowcowe były najtrudniejszym i najbardziej niebezpiecznym etapem wędrówki.



Andrzej Kula

patrzeć na ścianę Mount Cook przez to duże okno z kratką w kształcie krzyża. Potężna wichura zwała wtedy dach ze schroniska. Jurek Kukuczka miał niewielkie stłuczenie kamieniami z lawiny, musieliśmy go przywieźć helikopterem do Timaru. Wtedy właśnie znaleźliśmy w lodowcu zwłoki Japończyka, który zginął wiele lat wcześniej.

Podczas tej potężnej wichury Rysiek Pawłowski biwakował w ścianie. Wysłany helikopter na poszukiwanie ich zwłok zobaczył dwie zmarznięte figurki, a oni tylko zamachali – dajcie nam spokój – i poszli dalej w górę... Wszystko to działo się na początku 1981 roku. Potem byliśmy kilka dni w skałach Darranu, Milford etc.

Miło wspominać. Gratuluję zdobycia Mount Cook”.

TREKKINGOWE LENISTWO

Trzeba przyznać, że po naszym „starczym wyczynie” byliśmy tak zmęczeni, że jeszcze przez 20 godzin po powrocie nie potrafiliśmy zjeść nic treściwego. Piliśmy tylko herbatę, a potem i piwo. W dodatku Andrzej z Warszawy nabawił się przykrej kontuzji stopy, więc przez następny tydzień odpoczywaliśmy, zwiedzając turystyczne cuda Wyspy Południowej, zwłaszcza Park Narodowy Fiordlands.

Na zakończenie tej rekonwalescencji dokonaliśmy jeszcze wejścia (w rakach, ale już bez liny) na szczyt Barrier Peak (2150 m) w okolicach Przełęcz Gertrudy – na granicy zlewisk Morza Tasmana i Oceanu Spokojnego.

Nowa Zelandia to rzeczywiście raj dla turystów mających ambicje sportowo-trekkingowo-kajakowe. Szkoda, że Polacy rzadko tu



LAS WYEKSPORTOWANY

Prawie wszystkie lasy Wyspy Południowej zostały w latach 1960-80 wycięte, a drewno sprzedane do Japonii. Od 25 lat prowadzi się tu akcję zalesiania uprzednio zdewastowanych obszarów.



SKAŁY NALEŚNIKOWE

Te skały, które wynurzyły się z oceanu przed 26 milionami lat, stanowią atrakcję turystyczną niewielkiej miejscowości Punakaiki na zachodnim wybrzeżu Wyspy Południowej.

SZUKAJĄC ŚRÓDZIEMIA

Krajobraz zachodniego wybrzeża Wyspy Południowej stał się scenarią dla filmów „Władca Pierścieni” i „Opowieści z Narnii”.

zaglądają. Podczas naszej krótkiej wyprawy spotkaliśmy tylko pięcioro rodaków.

Minusem wędrowek po Nowej Zelandii są grodzienia. Na terenach pozamiejskich zabroniony jest wstęp na prawie całe – za wyjątkiem parków narodowych – teren wyspy, szczególnie ogrodzonej za pomocą drutów kolczastych, ciągnących się wzdłuż dróg przez setki kilometrów. Andrzej Kula, który przywiózł ze sobą z Australii nowy lekki „spadolot” (spadochron do lotów), nie miał gdzie go wypróbować – wszystkie wolne od kamieni i krzaków wzgórza okazały się terenami prywatnymi, służącymi do wypasu milionów owiec.

Gdy po dwóch tygodniach pięknej pogody nastąpił okres ulewnych deszczów i silnych wiatrów, przemieściliśmy się na północny kra-

niec Południowej Wyspy, zwany Farewell Spit. Aby wyprostować nogi po ciągłym jeżdżeniu samochodem, przez kilka godzin przekopywaaliśmy się przez ruchome piaski mierzei, przypominającej wydmy w okolicach Łeby.

Kiedy pogoda się poprawiła, zrobiliśmy jeszcze długą, w stylu grani słowackich Tatr Zachodnich, wycieczkę po górach Nelson Lakes National Park. Następnie wykąpaliliśmy się w dość zimnym i niebezpiecznym do pływania oceanie, w pobliżu miasteczka Kaikoura.

Nasze ponadtrzytygodniowe wakacje na antypodach zakończyliśmy, wygrzewając się w gorących źródłach Hanmer Springs, już tylko dwieście kilometrów od lotniska w Christchurch. ○



ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM GÓRNYM

– kompozytorem, dyrygentem

Powinieneś być w księdze rekordów Guinnessa. Jesteś człowiekiem, który biesiadował z największą liczbą ludzi na świecie.

Przeciętna liczba osób na widowni to 3000. W Radiumiu było 7500 osób i nie dojechał konferansjer.

Ja musiałem to udźwignąć jako prowadzący. Do tego na koronie amfiteatru, w knajpie, odbywało się wesele.

Udało się ściągnąć parę młodych na scenę i 7500 ludzi zaśpiewało im „Sto lat”. To była biesiada, którą oni będą pamiętać do końca życia. Policzyłem, że w sumie milion ludzi biesiadowało ze mną na żywo.

Wyjaśnijmy Czytelnikowi, że rozmawiamy o cyklu koncertów pod nazwą „Gala piosenki biesiadnej”. Pamiętaj, jakie to były biesiady?

Pierwsza powstała na bazie wstydu. Wtedy królowała piosenka chodnikowa. Z Krzyśkiem Jaślarem stwierdziliśmy, że stać nas na coś bardziej wyszukanego. Padło hasło, żeby wyciągnąć tę muzykę spod stołu i z tego chodnika, i dać temu szlif artystyczny. Czyli wziąć najlepszych w danym momencie artystów na rynku, nawet tych kojarzących się z muzyką poważną. Potem Nina Terentiew rozpropagowała te koncerty w telewizyjnej „Dwójce”.

Naszą rozmowę zacząłem od piosenki biesiadnej też dlatego, że wiele osób, z którymi rozmawiałem, używało zwrotu: „bo jak jeździliśmy ze Zbyszkim Górnym”. Wszyscy wspominają, że grono ludzi, których zaprosiłeś do współpracy, i klimat tej współpracy powodowały, że to towarzystwo chętnie z Tobą jechało. Nazwaliśmy to „rodziną biesiadną”. Oprócz tego, że graliśmy koncerty, spotykaliśmy się towarzysko. Zawsze dobieraliśmy ludzi, którzy pasują do naszej paczki. Dzięki tym wyjazdom objechaliśmy pół świata: byliśmy w Afryce, na Borneo, w Cesarskiej Brunei. Z powodu biesiady cztery czy pięć razy byliśmy w Australii, zahaczając o Nową Zelandię. W Wellington graliśmy dla zaledwie 1000 osób. Jednak w tamtym regionie świata taka Polonia to bardzo dużo osób. Po koncercie przyszedł do nas zapłakany 93-letni dziadek i z wielkim wzruszeniem powiedział, że czekał 45 lat na to, żeby posłuchać prawdziwej polskiej piosenki. Wyemigrował po wojnie, a teraz przyjechaliśmy wykonać coś, co mu w duszy zagrało.

Dla nich te teksty mają znaczenie.

Nieprawdopodobne znaczenie. „Marsz Polonia” jest zupełnie czymś innym tam niż w Polsce. U nas wiele pieśni się zdewa-luowało poprzez to, że w komunizmie też się je śpiewało. Za granicą pole rażenia tej biesiadnej pieśni było ogromne.

Przez pewien czas byłem u Ciebie w orkiestrze managerem. Pamiętaj, jak graliśmy kabareton w Krapkowicach i zapłacono nam butami.

Dostąpiliśmy przywileju posiadania dobrych butów w czasach komunistycznych.

To nauczyło Cię oszczędzać buty? Lubisz zwiedzać?

Uwielbiam, i to per pedes. Nie było mnie stać na taksówkę, więc wydeptałem Manhattan. W latach 1970. były ostrzeżenia, że po Manhattanie nie chodzi się nocą, bo można dostać



FOT. Z ARCHIWUM AUTORA

w plecy. Ja łąziłem po zakamarkach. Ostatnio największą frajdą było wypożyczenie roweru i jazda przez cały dzień po Central Parku. Lubię też wziąć koc, położyć się na trawie, obserwować wieżowce i mówić „Zbyszku, gdzie ty jesteś?”, nie robiąc nic, nie chodząc po żadnych sklepach. Uwielbiam podróże tak samo jak muzykę. ○

Marek Szpendowski – producent filmowy, właściciel agencji Viva Art. Organizował m.in. koncerty Luciano Pavarottiego, Michaela Jacksona czy zespołu The Rolling Stones. Dużo podróżuje i często zdarza mu się poznawać świat właśnie podczas delegacji, pospiesznie.

ŚWIAT W OBIEKTYWIE | Etiopia

SÓL ETIOPSKIEJ ZIEMI

Agnieszka Meissner

Na południowym skraju Etiopii, w pobliżu miasta Yabello, mieszka lud Borena, którego członkowie od wieków wydobywają sól. Powulkaniczny krater El-Sode (w języku lokalnym zwany też Chew bet), wypełniony granatowoczną wodą, stanowi jedyne źródło utrzymania dla wielu okolicznych rodzin.



Mężczyźni wydobywają z dna jeziora sól ukrytą w szlamowatej brei. Nurkują przez kilka godzin dziennie – bez właściwego ekwipunku. W dno wbijają długie pale, do których mocują plastikowe balie. Po ich napełnieniu przyplływają z ładunkiem do brzegu.



Pólnadzy robotnicy pracują w spiekocie i z determinacją. Ich ciała pokrywają się błotem i białą warstwą soli.



Trzeba czekać kilka dni, by z błota zaczęły wyłaniać się kryształki cennego kruszcu.
Po wyschnięciu sól dzieli się według jakości: na tę dla zwierząt i tę dla ludzi.



Przed zejściem na dno jeziora nurkowie smarują ciała gliceryną, którą wciskają też do uszu. Nosy obwiązują szczelnie szmatkami lub zatykają dużymi kulkami z papieru i plastiku. Po 10 latach nurkowania bez okularów ochronnych grozi im ślepotą.



Sól to skarb – jedyne w okolicy źródło utrzymania. Pomimo głodowych stawek każdego dnia rano zastępy mężczyzn meldują się na dole krateru.



Po okresie krakowskim, który zakończył się w 1951 roku zawieszeniem „Poznaj Świat”, jasne było, że pismo pod takim tytułem nie ma szans funkcjonowania za żelazną kurtyną, która według słów Winstona Churchilla przebiegała w tamtym czasie od Szczecina po Triest.

DRUGIE NARODZINY

Ta niewidzialna bariera miała izolować państwa Europy Środkowej i Wschodniej od krajów leżących w strefie wpływów mocarstw zachodnich. A magazyn „Poznaj Świat” miał ambicję przedstawiania czytelnikom wszystkich krajów ziemskiego globu. Nazwą rozpałał wyobraźnię miłośników podróży, kiedy uzyskanie paszportu zagranicznego było niezmiernie trudne. Ale pismo założyli geografowie, reprezentujący naukę, której celem, co najmniej od czasów Herodota, było poznawanie i opisywanie Ziemi, narodów na niej żyjących, ich życia i obyczajów. I to był atut, którym posłużyło się Polskie Towarzystwo Geograficzne, składając w połowie 1955 roku wniosek do władz o wznowienie pisma.

Pół roku w kolejce po papier
U schyłku swego życia pomysłodawca i inicjator „Poznaj Świat” prof. Stanisław

Leszczycki wspominał w „Kwartalniku Historii Nauki”, co go do tego natchnęło: „Już przed wojną, kiedy widziałem pięknie ilustrowane zagraniczne pisma geograficzne, marzyło mi się takie polskie pismo. Po różnych kolejach losu (w okresie stalinowskim pismo było zawieszona), „Poznaj Świat” ani redakcją, ani materiałem fotograficznym nie ustępuje pismom zagranicznym”. Słowa te odnosiły się do lat znacznie późniejszych. W 1955 roku prof. Leszczycki był dyrektorem Instytutu Geografii PAN, do którego zabrał ze sobą z Krakowa kilku swoich uczniów oraz asystentów, współpracujących poprzednio z krakowską edycją pisma. Jednemu z nich, Bronisławowi Siadkowi, który mimo dużej różnicy wieku i ogromnej różnicy stanowisk był z nim szczególnie zaprzyjaźniony, powierzył opracowanie memoriału w sprawie restytucji „Poznaj Świat”. Siadek na drugim roku geografii został kierownikiem stacji meteorologicznej PTG na Hali

Gąsienicowej, mieszczącej się w starym pasterskim szałasie. Kilka razy do roku profesor przyjeżdżał do niego wraz z żoną na wypoczynek. Razem jeździli na nartach, chodzili na wspinaczki, grali w brydża. Czasami przywoził w Tatry maszynopisy krakowskiej edycji magazynu, nad którymi pracował. Kiedyś trzeba było wyrwać ze złożonego już numeru materiał Siadka o Jugosławii, w której w tym czasie nastąpiły istotne zmiany polityczne. Jugosławia znalazła się na cenzurowanym, a Tito, który wypowiedział posłuszeństwo Stalinowi, był pokazywany w polskiej prasie z zakrwawionym toporem. Gotowy nakład z materiałem o Jugosławii mógł trafić na przemiał.

Zgodnie z memoriałem Siadka, opracowanym według wskazówek profesora Leszczyckiego, wznowione pismo miał redagować Komitet przy Zarządzie Głównym Polskiego Towarzystwa Geograficznego. Najważniejsze było uzyskanie zgody na przydział papieru, co trwało

prawie pół roku, a następnie znalezienie odpowiedniego lokalu w pobliżu Uniwersytetu Warszawskiego, w którym miała wykłady większość członków nowej redakcji.

Trzy światy zamiast jednego

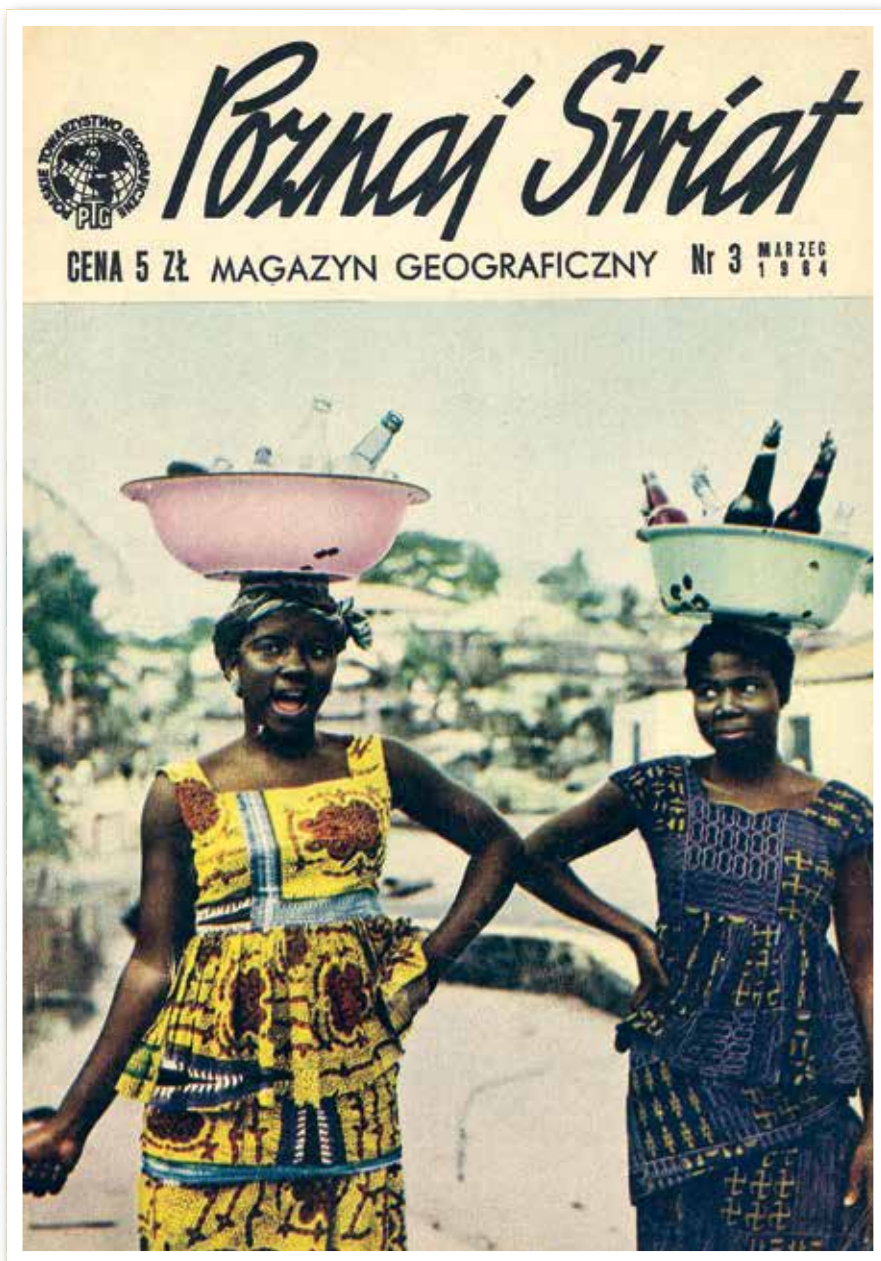
Ktoś dowcipny spośród decydentów sprawujących nadzór nad prasą przydzielił redakcji lokal przy ul. Nowy Świat 49 w Warszawie, naprzeciwko mieszczącej się po drugiej stronie ulicy, pod adresem Nowy Świat 58, siedziby społeczno-politycznego tygodnika ilustrowanego „Świat”. Kiedy na rynku wydawniczym ukazał się podróżniczo-reportażowy tygodnik „Dookoła Świata”, adresowany do młodzieży, usadowiono go w narożnym budynku przy ul. Smolnej, u jej zbiegu z Nowym Światem. W ten sposób czytelnicy otrzymali do wyboru aż trzy światy przy noszącej odpowiednią nazwę ulicy. Tyle tylko, że stare polskie powiedzenie „Mam z tobą trzy światy” znaczyło: „Mam z tobą same utrapienia”.

Tygodnik społeczno-polityczny „Świat” miał niewłaściwe kierownictwo, więc zamknięto go w 1968 roku. „Dookoła Świata” zlikwidowano w 1976 roku. „Poznaj Świat” firmowali naukowcy z Polskiej Akademii Nauk oraz Instytutu Geografii UW. Chronił go znak PTG na okładce. W swej nowej szacie, przy prawie niezmiennym zespole, dotrwał do 1988 roku. Do czasu, kiedy zmierzył się z wolnym rynkiem.

Przez 33 lata zmieniło się zaledwie trzech jego naczelników, a zespół trwał w podobnym składzie. Stanowił swoisty fenomen na rynku prasowym. Dziś pragnę poświęcić garść wspomnień temu właśnie zespołowi.

Krakowski desant

Drugie narodziny „Poznaj Świat” miały miejsce w grudniu 1955 r. Na czele pisma stanął tym razem Stanisław Berezowski, geograf ekonomiczny po studiach na Sorbonie i doktoracie na Uniwersytecie Jagiellońskim, który przed wojną miał krótki epizod praktyki konsularnej w MSZ. Trudno się było o tym dowiedzieć ze stopki pisma, w której wszyscy pracownicy redakcji przedstawieni byli alfabetycznie, bez wymieniania ich funk-



cji. Tak się złożyło, że właśnie on otwierał imienną listę zespołu.

Magazyn wrócił na rynek w większej niż poprzednio objętości (64 strony), w nakładzie 70 tys. egzemplarzy. Pismo wyróżniało się kolorową okładką z doskonale wyeksponowanym tytułem, który w prawie niezmiennym kształcie przetrwał do dziś. Za jego opracowanie graficzne odpowiadał Bogdan Bersz. Miało format 20x28,5 cm (mniejszy niż obecnie). Tylną okładkę zajmowały autorskie mapy prezentujące wycinki krajów opisywanych w numerze. Kreśliłi

je I. Baranowski oraz L. Ratajski, którzy korzystali z niedostępnych wtedy w Polsce atlasów zagranicznych. Lech Ratajski odpowiadał wcześniej za szatę kartograficzną wydania krakowskiego. Był, podobnie jak Bronisław Siadek, jednym z ulubionych uczniów, a potem asystentów prof. Leszczyckiego. Pod jego kierownictwem, pracując w „Poznaj Świat”, obronił doktorat, którego tematem był polski dorobek w dziedzinie kartografii ekonomicznej w latach 1900-1958. Na początku był zwykłym członkiem zespołu redakcyjnego, który tworzyło dziesięć

osób. Jego trzon stanowili geografowie różnych specjalności.

Maria Irena Milewska, która w Krakowie była studentką, a potem asystentką prof. Leszczyckiego, prowadziła w redakcji warszawskiej dział geografii podróżniczej i historii odkryć geograficznych. Meteorolog Bronisław Siadek kierował działem geografii fizycznej. W Warszawie do krakowskiego desantu dołączył Lucjan Kubiawicz, major Wojska Polskiego, zajmujący się geografiami regionalną, autor słownika geograficznego Ameryki i książki o geografii tego kontynentu. Pracę w piśmie godził z wykładami na Uniwersytecie Warszawskim, a potem w Szkole Głównej Służby Zagranicznej. Podobnie jak inni geografowie tworzący trzon „Poznaj Świat”.

Zespół redakcji warszawskiej tym różnił się od redakcji krakowskiej, iż wzmocnili go zawodowi dziennikarze. Zastępcą prof. Berezowskiego był Roman Biesiada, z wykształcenia zresztą geograf, profesjonalista w redagowaniu ilustrowanych czasopism. Miał on szczególnie dar przyciągania do współpracy z piśmie nielicznych podróżujących wówczas za granicę ludzi różnych specjalności, umiających władać piórem, których relacje z dalekiego świata czytane były z zapartym tchem, zwłaszcza przez młodych czytelników, uczniów szkół średnich i studentów. W „Poznaj Świat” pojawiły się opisy różnych ludów i krajów, przedstawiające inne kultury i obyczaje, a także niezwykle przygody ludzi, którzy się z nimi zetknęli.

Jak pomógł mi złoty samorodek

Pracowałem wtedy w dziale zagranicznym gazety „Sztandar Młodych” i mia-

łem dostęp do prasy obcojęzycznej, skąd czerpaliśmy, nieco po piracku, różne ciekawe informacje. Było wśród nich wiele ciekawostek geograficznych, które zanośiłem do redakcji „Poznaj Świat”. Zachęcił mnie do ich wyboru właśnie Roman Biesiada, który interesował się szczególnie Rosją. Jakimś cudem udało mu się zdobyć zgodę na przepłynięcie

w stepie u podnóży Uralu, ważącego prawie 12,5 kg złotego samorodka znalezionej na Czukotce oraz importu lwów do Afryki z frankfurckiego zoo. Demonstrowałem w nich medal wybitny przez Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne na cześć mającego polskie korzenie wielkiego podróżnika po Azji Mikołaja Przewalskiego, znaleziony przy starym syberyjskim trakcie, którym w czasach carskich pędzono na wschód polskich zesłańców.

W następnym, 1958 roku, „Poznaj Świat” opublikował dwa moje pierwsze duże reportaże z Abchazji i Adżarii. Materiały do nich zebrałem ze wspólnej podróży na Kaukaz z drugim etatowym pracownikiem redakcji, zawodowym dziennikarzem Edwardem Karłowiczem. Był to znakomity reportażysta i publicysta, który początkowo pracował w redakcji tygodnika „Świat”. Stamtąd zwerbowano go do „Poznaj Świat”, ale o tym opowiem następnym razem.

Zmiana warty

Prof. Stanisław Berezowski kierował redakcją „Poznaj Świat” do 1968 roku. Potem poświęcił się wyłącznie badaniom naukowym z zakresu struktury przestrzennej gospodarki Polski i geografii komunikacji. W 1969 r. zaproszono go

na wykłady na Uniwersytecie Ottawskim w Kanadzie, dokąd ponownie udał się w 1972 r. Po powrocie do kraju przewodniczył Polskiemu Towarzystwu Geograficznemu. Zmarł w 1986 r. W „Poznaj Świat” zastąpił go Lech Ratajski. Pismo miało wówczas ugruntowaną pozycję na rynku wydawniczym. W kioskach sprzedawano je wybranym klientom, którzy zakładali na nie specjalne teczki. ◉



statkiem niemal całej Wołgi, nad którą leżało wiele miast, niedostępnych wtedy dla cudzoziemców. Napisał o tym książkę zatytułowaną „Z biegiem Wołgi”. Ponieważ mnie, dzięki pewnemu fortelowi, udało się spłynąć w 1955 r. z Moskwy do Rostowa (przez Kanał Moskwa-Wołga i Kanał Wołga-Don), szybko znaleźliśmy wspólny język. Moje pierwsze, nie podpisane jeszcze nazwiskiem, informacje pojawiły się w „Poznaj Świat” w połowie 1957 r. Dotyczyły: budowy nowych dróg

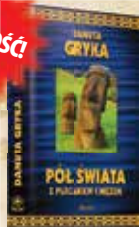
KSIĄŻKI POD PATRONATEM „POZNAJ ŚWIAT”

NOWOŚĆ!



Anna Świątek
**JAPONIA
W SZESCIU SMAKACH**
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł

NOWOŚĆ!



Danuta Gryka
**PÓŁ ŚWIATA
Z PLECAKIEM I MĘŻEM**
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł

NOWOŚĆ!



Jerzy Pecold
**PADRE, STRZELBA,
RÓZANIEC I KOŃ**
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



Wojciech Cejrowski
**PODRÓŻNIK WC
WYD. II POPRAWIONE**
format: 145 x 205 mm
cena 43 zł



Basia Meder
**BABCIA W PUSTYNI
I W PUSZCZY**
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



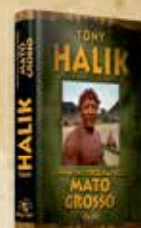
Basia Meder
BABCIA W AFRYCE
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



Antonio Halik
**180 000 KILOMETRÓW
PRZYGODY**
format: 145 x 205 mm
cena: 43 zł



Antonio Halik
**JEEP. MOJA WIELKA
PRZYGODA**
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



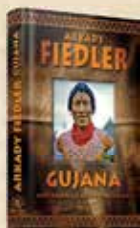
Antonio Halik
**Z KAMERĄ I STRZELBĄ
PRZEZ MATO GROSSO**
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł



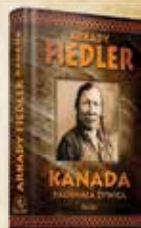
Wojciech Cejrowski
**GRINGO WŚRÓD
DZIKICH PLEMION**
format: 145 x 205 mm
cena: 43 zł, 49 zł (zapachowa)



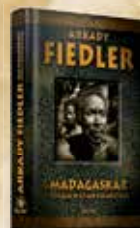
Arkady Fiedler
DYWIZJON 303
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł,
15 zł (opr. miękka)



Arkady Fiedler
**GUJANA. SPOTKAŁEM
SZCZĘŚLIWYCH INDIAN**
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł



Arkady Fiedler
**KANADA
PACHNĄCA ŻYWICĄ**
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



Arkady Fiedler
**MADAGASKAR. GORĄCA
WIEŚ AMBINANITELO**
format: 145 x 205 mm
cena: 49,90 zł



Bolesław A. Uryn
**MONGOLIA. WYPRAWY
W TAJĘ I STEP**
format: 145 x 205 mm
cena: 42 zł



Kinga Choszcz
**PROWADZIŁ NAS LOS.
KINGA & CHOPIN**
format: 145 x 205 mm
cena: 47 zł



Kinga Choszcz
MOJA AFRYKA
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



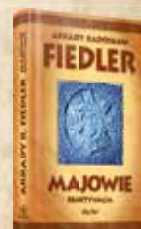
Kinga Choszcz
**PIERWSZA WYPRAWA.
NEPAL**
format: 145 x 205 mm
cena: 41 zł



Robb Maciąg
**ROWEREM
W STRONĘ INDII**
format: 145 x 205 mm
cena: 36 zł



Stefan Czerniecki
**DALEJ
OD BUENOS**
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



Arkady Radosław Fiedler
**MAJOWIE.
REAKTYWACJA**
format: 145 x 205 mm
cena: 36 zł

Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu, po-

dobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

Kuchnię Libanu charakteryzuje różnorodność i bogactwo smaków. Bardzo popularne są *mezzah*, czyli rozmaite przystawki – zimne i ciepłe. Na stole w trakcie posiłku pojawia się ich jednocześnie co najmniej kilkanaście, podawane są w glinianych lub fajansowych naczyniach. Chociaż na pozór *mezzah* mogą wydawać się podobne, każda jest inna. Taki sposób spożywania posiłków wzmacnia więzi między ludźmi, bo nic nie łączy tak, jak wspólne kosztowanie jednej z najlepszych kuchni świata.



FOT. JULIA MICHALCZEWSKA



MICHALCZEWSKA



MICHALCZEWSKA

Przepisy
pochodzą
z restauracji
le Cedre
w Warszawie

SKŁADNIKI (dla 2-3 osób):

200 g mięsa mielonego baraniego
1 cebula
1 łyżka mieszanki „Przyprawy
arabskiej” (papryka słodka i ostra,
cynamon, kumin, goździki, kolendra,
kardamon)

Składniki wymieszać
i uformować
podłużne, niewielkie
kotleciki. Smażyć na
głębokim oleju przez
5-6 minut.

KEBBE MEKLIYEH

www.lecedre.pl

TABBOULEH

SKŁADNIKI (dla 2-3 osób):

5-6 łyżek kaszki burghul
dwa pęczki pietruszki
1 pomidor
1 mała cebula
pół cytryny

Pietruszkę posiekać, dodać kaszkę,
pomidora, bardzo drobno pokrojoną
cebule, wyciśnięty sok z cytryny
i dokładnie wszystko wymieszać.

SKŁADNIKI (dla 2-3 osób):

25 dag cieciorki
sok z 3 cytryn
6 łyżek pasty sezamowej (tahini)
1 ząbek czosnku
2 łyżki oliwy
sól

Cieciorkę namoczyć przez dobę w wodzie
(4 szklanki wody na szklankę cieciorki), a następnie
opłukać i ugotować do miękkości, po czym odcedzić.
Czosnek obrać, posiekać i zmiksować z pastą
sezamową, sokiem z cytryn, cieciorką oraz solą.

HOMMOUS

Wszystkie przystawki podawać z chlebem naan lub pitą.

Zimowy trekking

Gdy sięgną Państwo po lutowy „Poznaj Świat”, zima w górach będzie w pełni. Śnieg uleży się i dobrze zwiąże z podłożem, zachmurzenie będzie znacznie mniejsze niż w grudniu, a dni będą coraz dłuższe. Z początkiem marca warunki turystyczne w górach będą zapewne jeszcze lepsze. To zatem dobry czas na górskie wędrówki. Jednak, aby bezpiecznie i komfortowo poruszać się zimą w terenie górzystym, musimy się odpowiednio przygotować.

Cena: ok. 590 zł
www.yeti.com.pl



CIEPŁO PRZEDE WSZYSTKIM YETI SLX

To sweter puchowy, którego projekt został wyróżniony w konkursie „Dobry Wzór” Instytutu Wzornictwa Przemysłowego. Sweter puchowy Yeti SLX jest dopasowany do ciała, wygodny i lekki. Nowoczesny fason nadaje mu bardziej sportowy i miejski charakter. Ściągacze z wycięciem na kciuk zastosowane w rękawach pozwalają na dokładniejszą ochronę dłoni przed zimnem. To dobry wybór zarówno w trakcie wycieczki w góry, jak i na miejskim spacerze. Ponadto w chłodniejsze dni sprawdzi się świetnie jako warstwa termiczna pod kurtkę z membraną. Sweter SLX to zaledwie jeden z produktów linii SL. Waga swetra (rozmiar L) 360 g, ilość puchu 110 g.

EKWIPUNEK OBOWIĄZKOWY BLACK DIAMOND CONTACT STRAP

To uniwersalne, 10-zębowe raki paskowe wykonane ze stali nierdzewnej, wyposażone w podkładki przeciwśnieżne ABS. Dzięki koszykowemu systemowi mocowania raki montuje się niezwykle szybko i precyzyjnie. Ich długość sprawnie dopasujemy, korzystając z prostego w regulacji systemu zapadkowego.



Cena: ok. 450 zł
www.bdel.com



NAJLEPSZE TECHNOLOGIE MEINDL JORASSE GTX

Każdy, kto chce komfortowo czuć się zimą w górach, musi pamiętać o odpowiednich butach. Nowością jest model Jorasse z wyściółką GORE-TEX® Performance Comfort Footwear oraz wkładką AIR-ACTIVE® SOFT PRINT. Za stabilność i absorpcję drgań odpowiada podeszwa Meindl Multigrip® 3 Alpin by Vibram®.

Cena: ok. 1000 zł
www.meindl.pl

Cena: ok. 500 zł
www.adidas.pl/outdoor

SPECJALNIE DLA PAŃ
ADIDAS TERREX™ NDORPHIN

Nawet podczas wymagających fizycznie aktywności górskich kobiety często skarżą się na marnujące ramiona i nerki. Bezrękawnik Ndorphin chroni szczególnie te obszary, które narażone są na nadmierne wychłodzenie, jednocześnie nie powodując przegrzania. Firma adidas zastosowała izolację termiczną PrimaLoft® w przedniej części bezrękawnika – w przedłużonej strefie ramion zakrywającej barki i wydłużonym tyle. Rozwiązanie to zapewnia maksymalną izolację termiczną nawet w warunkach podwyższonej wilgotności. Włókna z mikrofibry doskonale oddychają i są miłe w dotyku. Natomiast tylne i boczne wstawki z elastycznego stretchu nie tylko gwarantują pełną swobodę ruchów, ale również skutecznie odprowadzają wilgoć na zewnątrz.



Cena: ok. 250 zł
www.fenix.pl



NA EKSTREMALNE PRZYGODY
FENIX HP11

Skorzystasz z niej nawet w najbardziej nietypowych warunkach. Potężne źródło światła, które potrafi nieprzerwanie pracować przez ponad 200 godzin. 277 lumenów, ponad 150 metrów zasięgu i wodoodporność – a to wszystko potwierdzone normą ANSI / NEMA FL1. To, co w nocy dalekie i odległe, teraz jest w zasięgu Twojej ręki.

SPRAWDZONA KONSTRUKCJA
GRIVEL G14

To techniczne raki z wymiennymi, kutymi na gorąco zębami przednimi. Sprawdzają się zarówno we wspinaczce czysto lodowej, jak i miksowej. Dodatkowym ich atrybutem jest możliwość modyfikacji liczby zębów natarcia. Tuleje wypełniające do zmiany z dwóch zębów na ząb pojedynczy znajdują się w komplecie. Raki G14 wyposażone są w podkładki antiboot wykonane z tworzywa odpornego na niskie temperatury, które skutecznie zapobiegają podklejaniu śniegu. Łącznik również posiada osłonę zwaną acordeonem. Prosty system regulacji zapewnia szybkie dopasowanie rozmiaru. G14 to jedna z najlepszych propozycji na rynku.

Cena: ok. 830 zł
www.himalsport.com.pl



SYNTECYCZNE DOCIEPLENIE ARC'TERYX ATOM SV HOODY

To ciepła, lekka kurtka z syntetycznym wypełnieniem Coreloft™. Doskonale nadaje się jako warstwa docieplająca w bardzo mroźne dni pod kurtkę membranową. Przy dużych właściwościach termicznych Atom ma również doskonałe właściwości kompresyjne, przez co zajmuje niewiele miejsca w plecaku. Cechy te sprawiają, że jest ona bardzo uniwersalną kurtką, którą można wykorzystywać zarówno w warunkach miejskich, jak i podczas trekkingu, wspinaczki czy ski touringu. Materiał zewnętrzny to Gossamera™ – wytrzymały i lekki nylon ripstop wykończony trwałą impregnacją DWR (Durable Water Repellency) powodującą skraplanie się wody na powierzchni materiału, dzięki czemu materiał nie wchłania wilgoci. Izolację termiczną przy dobrej oddychalności zapewnia hydrofobowe, silikonowane, syntetyczne włókno Coreloft™ 100 g / m².



Cena: ok. 870 zł
www.arcteryx.com

TRWAŁE I UNIWERSALNE EIDER UPHILL

Spodnie do górskiego trekkingu czy jazdy na nartach z Polartec® NeoShell®, czyli najnowszego i świetnie oddychającego oraz wysoce wodoodpornego materiału. Dla zwiększenia funkcjonalności modelu Uphill w różnych miejscach wykorzystano dwie różne wersje dzianiny: aby zapewnić lepszą elastyczność, użyto Polartec® NeoShell® stretch woven, natomiast lepszą odporność na otarcia i uszkodzenia mechaniczne gwarantuje Polartec® NeoShell® ripstop stretch. Obecnie to jedna z najlepszych propozycji na rynku.



Cena: ok. 1200 zł
www.eider.com

NA EKSTREMALNE WARUNKI SCARPA PHANTOM GUIDE

Idéalne buty przeznaczone do każdego rodzaju zimowej wspinaczki, począwszy od lodu, poprzez drogi miksowe, aż po klasyczną turystykę górską. Są bardzo lekkie (but w rozmiarze 42 waży 950 g) i precyzyjnie dopasowane do stopy. Świetnie zatrzymują ciepło dzięki wielowarstwowej cholewce złożonej z kombinacji stuptuta, skorupy, wewnętrznego botka i materiałów izolacyjnych. Nowa podeszwa Total Traction zapewnia świetną przyczepność i doskonałą amortyzację. Można do nich zastosować wszystkie rodzaje raków.



Cena: ok. 1900 zł
www.himalSPORT.com.pl

adidas – Terrex Hooded Light Down Jacket

Marka adidas stworzyła bardzo ciekawą i szeroką kolekcję odzieży outdoorowej Terrex. Znalazła się w niej męska kurtka Terrex Hooded Light Down Jacket. Jej wypełnienie stanowi wysokiej jakości gęsi puch (700+ 90/10), natomiast zewnętrzny materiał to odporna na rozdarcia nylonowa tkanina ripstop. Nasza redakcja miała okazję testować ją pod koniec grudnia w Karkonoszach.

Pierwszy „kontakt” z kurtką był bardzo pozytywny. Moją szczególną uwagę przykuła jej bardzo niewielka waga (365 g – rozmiar M), a także niezwykle duże możliwości kompresyjne. Po ubraniu jej, w temperaturze pokojowej w kilkanaście sekund ogrzewała ciało na tyle, że trzeba było ją ściągnąć. Ogólne wrażenie było bardzo pozytywne – dobrze skrojona, niekrępująca ruchów. Bez problemu mogłem na nią założyć zewnętrzną kurtkę techniczną.

Właściwy test rozpoczął się w Karkonoszach. Ruszyłem z Jagniątkowa „Koralową Ścieżką” przy temperaturze ok. -2 stopni i dużym zachmurzeniu, niosąc plecak ważący ok. 5 kg. Podejście (ok. 700 m przewyższenia) trwało blisko 3 godziny. Początkowo idąc lasem (szlak osłonięty od wiatru), nie używałem kurtki, tylko cienki softshell. W miejscu, gdzie las się przerzedził i odczucie chłodu było większe, założyłem testowaną kurtkę. Jako pierwszej warstwy używałem cenniejszej bielizny termalnej. Mimo znacznego wysiłku fizycznego (szlak w kilku miejscach wznosi się po stromych stopniach z kamieni i korzeni), kurtka całkiem nieźle oddychała, choć na ramionach para wodna lekko się skropliła (była rozpięta do połowy długości zamka). Nie miałem odczucia przegrzania – przyczynił się do tego zapewne brak ociepliny pod pachami zwiększający wymianę powietrza i komfort

użytkowania przy wzmożonej aktywności. Po wejściu na czerwony szlak graniczny przy Czarnej Przełęczy (1348 m) warunki zmieniły się – było mgliście i mroźno (ok. -7 / -8 stopni). Zamiast czapki ubrałem kaptur (zintegrowany z kurtką). Jest on bardzo dobrze dopasowany, w pełni zakrywa czoło, a dopinając do końca zamek, chronimy policzki i brodę. Całość zakończono miłym w dotyku ściągaczem. W takich warunkach przeszliśmy do schroniska „Odrodzenie”. Po odpoczynku i posileniu się po godz. 16 (już zapadał zmierzch), ruszyliśmy w dalszą drogę (przy temp. -10°C)

zielenym szlakiem w kierunku zespołu skał „Pielgrzymy”. Po 2 godzinach byliśmy w Kotle Smogornii, gdzie przy górskiej chatce zaplanowaliśmy nocleg. Przygotowując legowiska na noc (karamata i puchowy śpiwór), a potem jedząc kolację, cały czas przebywałem w bieliznie termalnej i kurtce – mimo braku ruchu i niskiej temperatury czułem się w niej komfortowo. W czasie wykonywania tych czynności kurtka w żaden sposób nie ograniczała moich ruchów – to zasługa technologii FORMOTION™. Kurtka ma dwie boczne kieszenie oraz jedną dużą

kieszon „napoleońską”, w której cały dzień trzymałem telefon i aparat cyfrowy. Świetnie izolowała od zimnego powietrza – poziom baterii po całodziennym wędrowaniu spadł zaledwie o ok. 30%.

Kurtka świetnie sprawdziła się w górskich zimowych warunkach. Wprawdzie temperatura nie była zbyt niska, jednak używałem wtedy tylko cenniejszej bielizny termalnej. Przy użyciu grubszej lub dodatkowej warstwy kurtka adidas Hooded Light Down Jacket z pewnością sprawdzi się w dużo niższych temperaturach. Można ją polecić miłośnikom aktywnego wypoczynku w mroźnej, zimowej aurze, a przede wszystkim zmarzłuchom.



Cena: ok. 1100 zł
www.adidas.com/outdoor



Grzegorz Miedziński





FOTOGRAFIA POCHODZI Z ZASOBY NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

Upadek prezydenta

Ignacy Mościcki, prezydent
Rzeczypospolitej Polskiej
(1926-1939), podczas urlopu
w Zakopanem w 1929 roku.

W najbliższych numerach...



INDIE – NIEBIESKIE MIASTO



AUSTRIA – LODOWCE



USA – PRZYSTANEK ALASKA

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelny
Dariusz Małkowski
naczelnny@poznaj-swiat.pl · tel. 535 444 980

Zastępca redaktora naczelnego
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl · tel. 501 602 401

Sekretarz redakcji
Julia Michalczewska
redakcja@poznaj-swiat.pl · tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Wojciech Albiński, Ryszard Badowski,
Józef Baran, Paweł Chara, Maciej Jastrzębski,
Michał Kochańczyk, Marcin Kołpanowicz,
Romuald Koperski, Tomasz Michniewicz,
Robert Mazurek, Dariusz Rosiak, Marek Szpendowski

Grafika DTP & Prepress
Artur Bury


Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaškowa Dolina 17
e-mail: redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
PROBIER sp. z o.o. sp.k.
80-180 Gdańsk, Kowale, ul. Glazurowa 7

Koordynator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
tel. 583 508 464
www.poznaj-swiat.pl/prenumerata

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
BRE Bank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Reklama

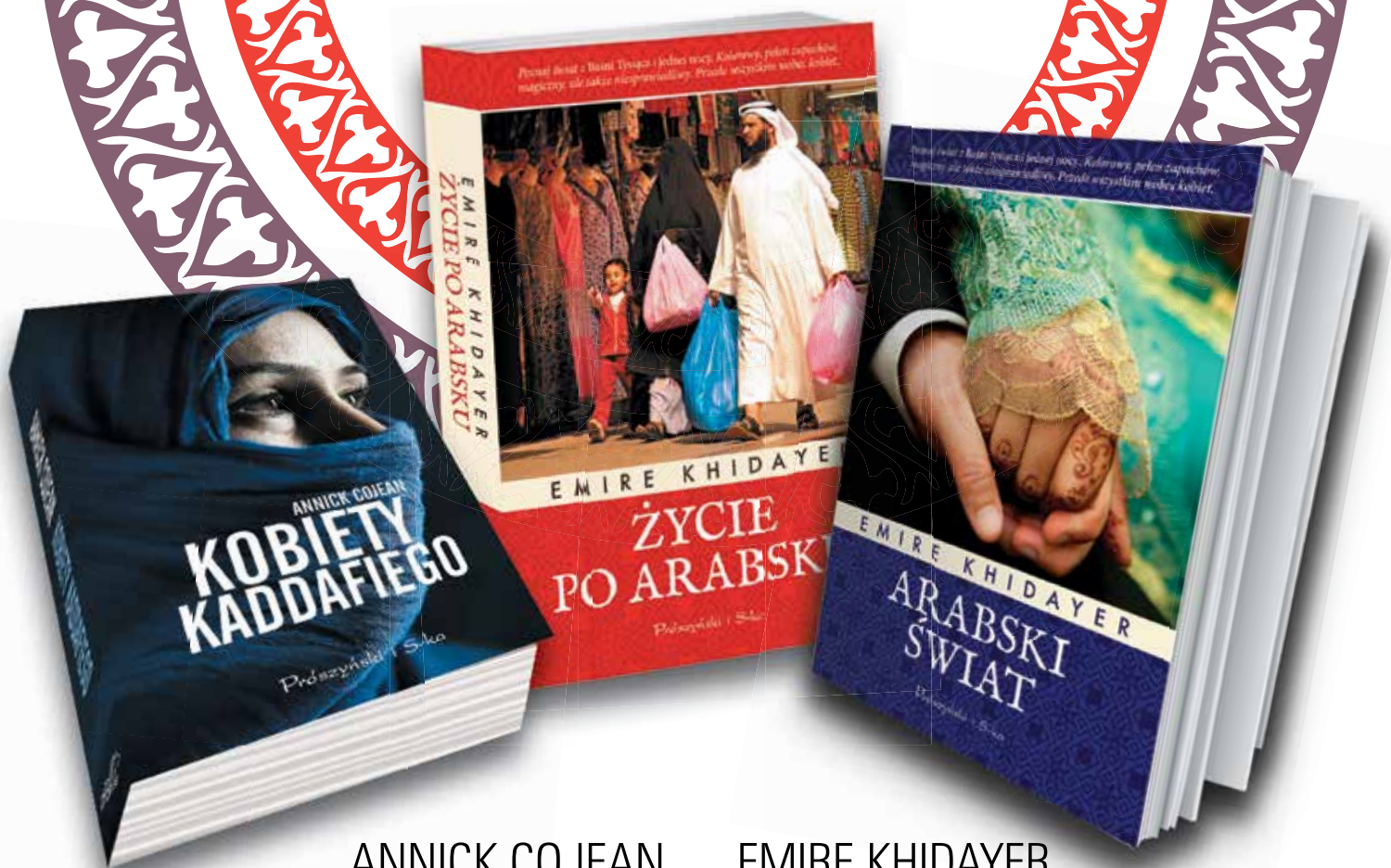
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333
aleksandra.musial@poznaj-swiat.pl

Olga Kołakowska
tel. 501 050 624
olga.kolakowska@poznaj-swiat.pl

Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706
grzegorz.miedziński@poznaj-swiat.pl

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania
redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć.
Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam
i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi
przekonaniami ich autorów.

Literackie podróże BEZ GRANIC



ANNICK COJEAN
**KOBIETY
KADDAFIEGO**

Porywane, gwałcone, upokarzane. Taki był los kobiet podporządkowanych przyjemności Kaddafiego. W swojej wstrząsającej książce Annick Cojean oddaje im głos.

EMIRE KHIDAYER
**ŻYCIE PO ARABSKU
ARABSKI ŚWIAT**

Autorka, żyjąca na styku dwóch kultur i obyczajowości, z pasją dokonuje przekładu sposobu myślenia i działania mieszkańców Bliskiego Wschodu na kategorie, charakteryzujące europejskie spojrzenie na świat.

Z ekipą taniej!

Zbierz znajomych lub rodzinę,
wykorzystaj zniżki w Hestii Podróże

- aż do 30%

ERGO
HESTIA®

Oferta specjalna dla narciarzy
- **zniżka 50%**
ubezpieczenie sprzętu narciarskiego!

